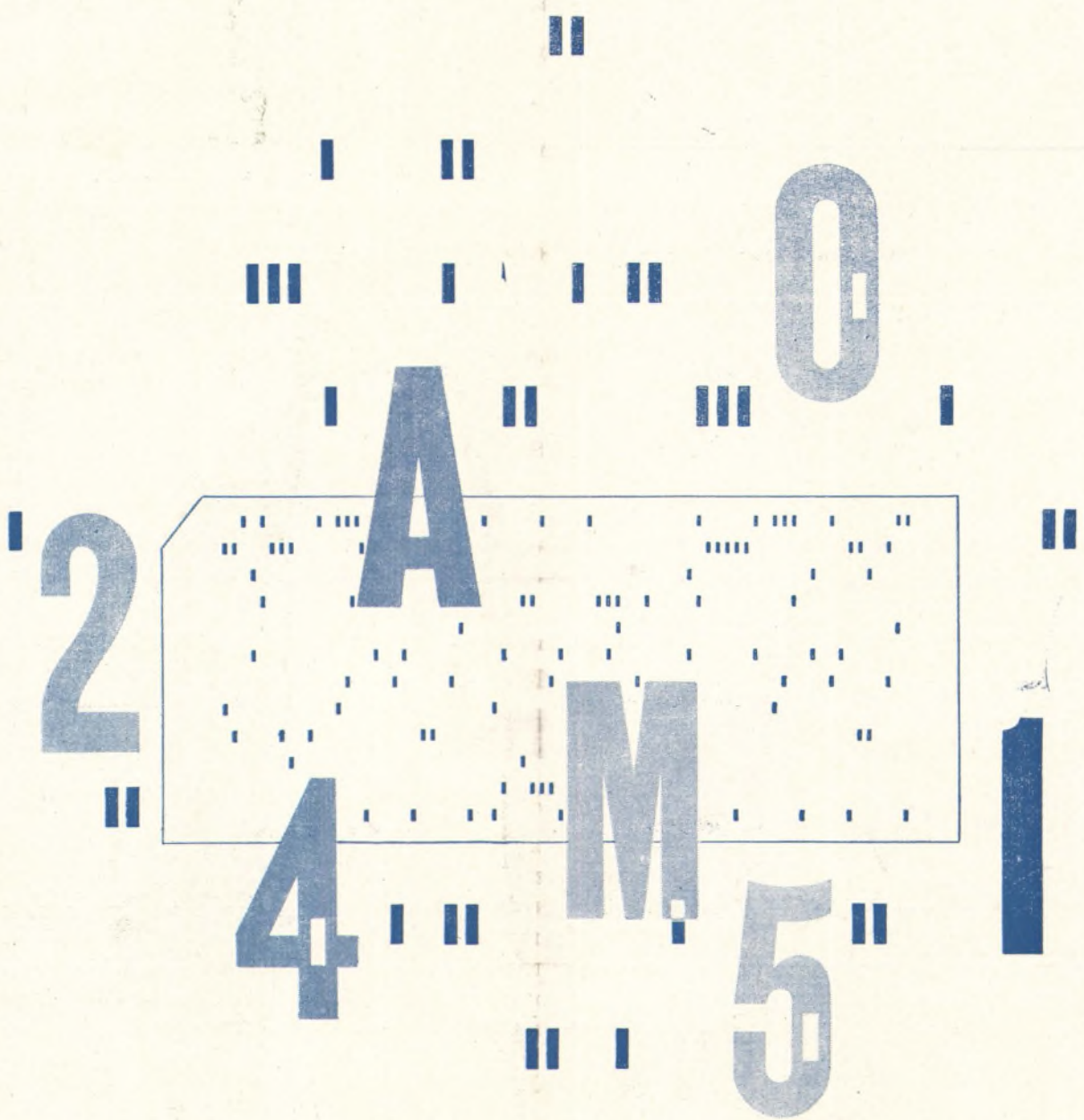


Folha Polonêsa

145
Przeгляд
Polski
REVISTA POLONÊSA

ROK 2. N.º 11 WRZESIEŃ - PAZDZIERNIK — 1961





Para o mundo dos negócios... fatos em que basear ações. Os cartões perfurados IBM tornaram-se um símbolo, hoje muitíssimo conhecido, do progresso no mundo dos negócios. Baseando-se em dados registrados nesses cartões, as máquinas IBM de cartões perfurados apontam os fatos que permitem ao gerente moderno tomar decisões rápidas e seguras. Os avanços da indústria, da engenharia e da ciência administrativa ampliam, dia a dia, através de sempre novas aplicações, as vantagens proporcionadas ao mundo dos negócios pelas máquinas IBM de cartões perfurados. Seja qual for o tamanho da sua empresa, procure conhecer as vantagens que um Sistema IBM de Cartões Perfurados lhe pode oferecer. Um representante IBM estará sempre pronto para lhe demonstrar em detalhes, como um Sistema IBM de Cartões Perfurados poderá beneficiar o seu negócio.

IBM DO BRASIL LTDA.



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

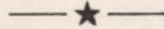
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

DELACO

Comércio e Indústria S. A.

laminados plásticos,
decorações, revestimentos

Loja e exposição:

SÃO PAULO, Rua Consolação, 825

Dpto. Técnico - fone: 32-1022

Dpto. Comercial - fone: 34-1246

Depósito e fábrica:

Rua do Manifesto, 2471, -

Fone: 63-3468.

Sprzedaż FORMICA w arkuszach
i kawałkach.

Jedyna firma w São Paulo wyspe-
cjalizowana we wszelkich dekora-
cjach, aplikacjach i meblach arty-
stycznych, wyłącznie z "FORMICA".

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO



COMERCIAL POLPARANÁ S.A.

IMPORTAÇÃO — EXPORTAÇÃO — REPRESENTAÇÕES

TRATORES DE ESTEIRAS - TRATORES DE PNEUS - IMPLEMENTOS AGRÍ-
COLAS - COLHEDEIRAS - CARRETAS - MAQUINÁRIA PARA TERRAPLANA-
GEM E EQUIPAMENTOS CONGÊNERES - ESCAVADEIRAS - ARAMES-GRAMPOS
MAQUINAS OPERATRIZES - MATERIAIS ELÉTRICOS - CENTRAIS TELEFONI-
CAS - EQUIPAMENTOS CIRÚRGICOS - APARELHOS CIENTÍFICOS PARA LABO-
RATÓRIOS - MOTORES ESTACIONÁRIOS - MAQUINÁRIAS E EQUIPAMENTOS
P/ INDÚSTRIAS - BEBIDAS E COMPOTAS ESTRANGEIRAS.

ALAMEDA CARLOS DE CARVALHO, 356/360 - FONE: 4-1574

CURITIBA — PARANÁ — BRASIL

DWA NOWE FILMY POLSKIE

wkrótce na ekranach Brazylii

"ZAMACH"

(ATENTADO)

BOZENA KUROWSKA — GRAZYNA STANISZEWSKA

ZBIGNIEW CYNKUTIS — ANDRZEJ KOSTENKO

"BAZA LUDZI UMARŁYCH"

(ENFRENTANDO A MORTE)

ZYGMUNT KĘSTOWICZ — EMIL KAREWICZ

TERESA IZEWSKA — LEON NIEMCZYK

Distribuição:

INTERARTE - ORBIS FILMES

INDÚSTRIA DE REVESTIMENTOS TERRABONA LTDA.



REBOCAL – massa fina para interno e externo, preparada com quartzito puro.

GRANILITE – executamos todo e qualquer serviço.

MASSAS PARA FACHADAS – fornecemos e executamos serviços em raspada - lixada - batida - lavada, - imitação de travertino.

PISO ROMANO – execução em caco de mármore perfeitas.

ESCRITÓRIO: — Rua Sete de Abril, 264 - 12.º - S / 1206

TELEFONES: 36-8772 — 37-7336

FABRICA: — Avenida Pávão, 955 — TEL: 61-3191

(Indianópolis) — SÃO PAULO.

Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

D W U M I E S I Ę C Z N I K

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY : João Castaldi del Ruccillo

Dyrektor : Stanisław Biliński

REDAGUJE ZESPÓŁ : Mira sławińska, Stanisław Koszutski, Roman Sładowski, Seweryn A. Hartman (redaktor naczelny).

Wydaje: Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.

Redakcja i administracja : rua Barão de Itapetininga, 221 conj. 1203 - Fone : 35-5584 - Cx. P. 6335 - S. PAULO, Brasil

Warunki prenumeraty: 500,00 Cr\$ rocznie (za 6 numerów).

Dla stanów: Paraná, Rio Grande do Sul i Santa Catarina — 300,00 Cr\$ rocznie.

Za granicą US \$ 3,00

Rękopisów i zdjęć niezamówionych redakcja nie zwraca. Złożono i tłoczono w Drukarni "Ludu" - Kurytyba, Al. Cabral 846

WE WRZEŚNIU - PRZED LATY...

1 WRZEŚNIA 1939 WYBUCHŁA II WOJNA ŚWIATOWA

Późną nocą 31 sierpnia 1939 r. radio niemieckie podało na cały świat wiadomość, że tegoż wieczoru o godzinie 20 grupa Polaków napadła na radiostację w Gliwicach, opanowała ją i wezwała do zbrojnego powstania Polaków, po czym po zdemolowaniu wnętrza została zmuszona przez niemieckie oddziały policji do wycofania się. W rzeczywistości byli to niemieccy więźniowie obozów koncentracyjnych przebrani w polskie mundury, zmuszeni do odegrania tej tragicznej farsy na rozkaz Himmlera. Po wykonaniu "zadania" zostali oni wszyscy rozstrzelani. Incydent ten był przygotowany przez funkcjonariuszy SD na kilka tygodni wcześniej.

W następstwie tego zdarzenia nazwanego "provokacją gliwicką" i zdemaskowanego dopiero na procesie norymberskim, o świcie następnego dnia, tj. 1 września 1939 r., wojska niemieckie przekroczyły granicę polsko-niemiecką, przechodząc — jak to nazwała propaganda niemiecka — do "kontrataku". Tegoż dnia Hitler oświadczył na posiedzeniu w Reichstagu:

"Tej nocy Polska po raz pierwszy na naszym własnym terytorium wszczęła strzelaninę, tym razem siłami regularnych wojsk. Od 5.45 odpowiada się ogniem. Od tej chwili odpowiada się bombą za bombę".

Tak i ja, siedząc w Crowford, po odwiedzinach Zbyszka Kiedacza wyemigrowałem do Douglas do 10 brygady kawalerii. Stare braterstwo broni i magiczne słowo: *kawaleria* silniejsze były, niż poczucie karności z przygodnym moim związkiem z zadyplomowaną atmosferą sztabu gen. Paszkiewicza.

Wyjeżdżając z Crowford nie wiedziałem jednak jakiej biedy sobie napytam, gdyż jedyny wolny etat wakujący w 10 BK był oficera organizacyjnego brygady. Na ten stołek od razu mnie posadzono, dając do pomocy kpt. Józefa Słomczyńskiego, geografa, pół niewidomego kaprala Krauze i gońca Martyniuka, który na ochotnika pełnił również obowiązki mego ordynansa (po starej znajomości jeszcze z Francji).

Obóz brygady przypominał w każdym razie obraz wojska bardziej, niż wszystkie inne zbiorowiska, przez które przeszedłem od chwili wylądowania z Francji. Panował tu przynajmniej jakiś ład i porządek. Istniały oddziały posiadające sztandary, dowódców z prawdziwego zdarzenia, tradycję, zwartość i karność. Stacjonowały więc w Douglas 24 pułk ułanów, 10 pułk strzelców konnych, oddział rozpoznawczy, pułk artylerii motorowej, oddział przeciwpancerny, żandarmeria, regulacja ruchu i kompania sanitarna — jednostki, które przeszły wszystkie zawieruchy i teraz znowu w magiczny sposób odradzały się z popiołów. Jako oficer organizacyjny miałem obowiązek pomagania im w tym kierując strumieniem ludzkim, zaprowadzając ewidencję i etaty.

Malowniczy bo był ten obóz w Douglas Castle.

Skupiska namiotów jak grzyby pod zielonym i żółtym listowiem szkockich buków i świerków. Proporczyki, białe w ziemię, oznaczają miejsca pułków i szwadronów. Dymią się rury zaimprovizowanych kuchni polowych. Krzątają się postacie w polskich rogatywkach polowych, w niezgrabnych mundurach francuskich barwy khaki lub błękitnych, w battl-dressach angielskich albo w ubraniach cywilnych.

Między namiotami barany; koło ruin starożytnego zamku staw pokryty zieloną pleśnią. Na nim dzikie kaczkę i białe, królewskie łabędzie. W nocy światła z namiotów jak robaczki świętojańskie. Dymy z ognisk i bridge i "długie nocne rodaków rozmowy".

Boże, ile tu przygód opowiedziano, ilu ludzi osadzono, ile prorocत्व stworzono. Ile gorczy w eter popłynęło i ile nadziei na przyszłość!

Rano pobudka i toaleta przy lusterkach zawieszonych na drzewach. Apel. Wymarsz wart i posterunków na obserwację pustych wzgórz dokoła. I codzienna krzątanie dla upiększenia otoczenia i... nuda i...czeka-nie na coś...

KSIĄDZ MIENTKI

STANISŁAW KOSZUTSKI

Któż z nas nie pomni pamiętnych dni lata i jesieni 1940 roku? Pełni nadmiaru wrażeń i przeżyć ostatnich dni kłeski francuskiej rzuceni zostaliśmy w góry Szkocji jak by na kurację nerwową bezczynności i odludzia.

Cisza była dokoła, wiatr hulał po wzgórzach i deszcz siąpił w płótna namiotów. Pasły się na górach barany, a rude szkockie dzieci nie mogły oderwać wzroku od dziwacznych przybyszów zza morza.

W parkach i laskach rozbito namioty. Powstały obozy i najrozmaitsze dowództwa. Każdy prawie okręt od lipca począwszy, wyrzucił na brzegi Wyspy polskich żołnierzy włóczędów. Znajdowały się wśród nich zwarte, choć poszarpane w walkach oddziały; resztki różnych formacji i pojedynczy ludzie ocaleli z potopu.

Towarzystwo to transportowano z portów *busami* do jakiegoś prowizorycznie przygotowanego, zwykle bardzo odludnego miejsca i zostawiano w nadziei, że przyda się może kiedyś do obrony Wyspy.

Tam te skupiska rozbitków przekształcały się powoli w rodzaje obozów wojskowych, przybierając zazwyczaj samorzutnie sztyk np. 3 dywizji piechoty, 9 pułku ułanów albo zatrzymując starą nazwę, gdy istniała ciągłość istnienia danej formacji jak np. 10 brygady

kawalerii, Broni Pancernej lub batalionu Podchalańskiego z Narwiku..

W starych formacjach ludzie na ogół trzymali się kupy. Ale w obozach *przygodnych* nie wszyscy byli zadowoleni z miejsca, w którym ich osadzono. Po kilku dniach, czasem po kilku tygodniach, gdy docierały wieści o istnieniu innych obozów, żyłka awanturnicza budziła się u wielu i ruszali w świat szukać szczęścia. Rzucali jeden obóz i wędrowali do drugiego, trzeciego, czwartego w poszukiwaniu znajomków, przyjaciół, lepszego żarcia, lepszego namiotu, względniejszego dowódcy bądź sławniejszego oddziału.

Była to prawdziwa wędrowka ludów — koleją, autobusem, kto miał forszę i umiał dogadać się po angielsku, albo pieszo kogo nie stać było na ten luksus. Stany w obozach zmieniały się nieledwie z godziny na godzinę i nikt na to nie mógł poradzić, a może i nie chciał, gdyż po co zatrzymywać siłą niezadowolonych, kiedy na ich miejsce zgłaszali się nowi przybysze.

Ludzi wszędzie było za mało, aby usprawiedliwić szumne nazwy brygad lub pułków. Każdy więc nowy szeregowy był chętnie przyjmowany na strawę i zapisywany do ewidencji nie pytany kto zacy i skąd przybył.



Sudety. — Las w Karpaczu w zimie.

Brygadą dowodził gen. Dreszer pod nieobecność gen. Maczka, o którym krążyły słuchy, że znajduje się w drodze do Anglii z Afryki Północnej. Szefem sztabu był podpułkownik piechoty co przypasował do kawalerii i jak we wszystkich dowództwach ówczesnych kręciło się też w sztabie do diabła i trochę oficerów, próbujących coś zrobić. Panowała atmosfera przyjacielska i koleżeńska. Ale praca oficera organizacyjnego nie należała do łatwych.

Trzeba było zaprowadzić ewidencję personalną dla około 1500 ludzi. Trzeba było zrobić schematy organizacyjne oddziałów i rozgraniczyć kompetencje, poszukiwać "naszych" ludzi, których przywłaszczyły sobie inne formacje, bronić każdego człowieka, którego chciano zabrać do sztabu korpusu, Londynu lub gdzie indziej i co najważniejsze przydzielać, przesuwac, przenosić żołnierzy z oddziału do oddziału, tocząc zacięte walki z dowódcami, pragnącymi jednych rewindykować, pozbyć się innych itd.

Nieszczęsny Słomczyński, mój ślepy kapral i ja urzędowaliśmy w naszym namiocie codziennie do 9—10 wieczór wśród stosu papierów i w wiecznym gwarze interesantów.

W owym czasie najgorszym zagadnieniem nie tylko naszym, ale w skali ogólnej był nadmiar oficerów w porównaniu z szeregowymi. Oddziały zapełnione były po brzegi oficerami i stale przybywali nowi, prosząc o przydział.

Ciężko było odsyłać tych dzielnych ludzi do tworzących się specjalnych batalionów oficerskich na wieczne czekanie w atmosferze poczucia własnej zubożności, nudy i frustracji. Postanowiliśmy więc zorganizować w brygadzie własny pułk kadrowy, do którego wcielilo by się z czasem uzupełnienia, na które liczyliśmy z wrodzonym polskim optymizmem, (chodziły słuchy o ochotnikach z obu Ameryk, Afryki Północnej i francuskiego Vichy).

Pułk ten liczył samych oficerów i kilku szeregowych obsługi. Na dowódcę gen. Dreszer wyznaczył ppłk. G. Pułk otrzymał namioty, kuchnie, pół akra lasu na zakwaterowanie i tak narodził się Pułk Zapasowy 10 Br. Kaw. Panc. ppłk. G. Tak on się oficjalnie nazywał. Pocztykowo wszyscy zainteresowani byli bardzo zadowoleni, dopóki na swoje nieszczęście nie opracowałem prowizo-

rycznych etatów oddziałów, umieszczając w nich przez jakieś fatum, funkcje kapelana dla każdej samodzielnej jednostki.

Nie było wtedy w obozie wiele literatury do czytania. Gazety angielskie potrafiło czytać i rozumieć zaledwie klika osób, a szumnie nazwany "Dziennik Żołnierza" wychodził jako pismo jednostronicowe. Dziennik ten, redagowany przez starszego szeregowca Rubla, rozwieszano na pniach drzew po jednym egzemplarzu na każdy pułk. Przeczytanie go zajmowało nie więcej, niż 15 minut, wliczając w to czekanie na swą kolejkę w ogonku.

Ludzie spragnieni więc byli drukowanego słowa, tęsknili za nim i nie mając zaspokojonej tej duchowej potrzeby czytali szczególnie wszystko co im wpadło do ręki, nie tylko rozkazy dzienne, ale też inne wypociny oficjalne, nie wyłączając mojego projektu organizacyjnego.

I otóż zdarzyło się, że ppłk. G. pewnego dnia po modlitwie porannej i gimnastyce pułku (46 chłopów na schwał i 8 ordynansów kategorii E) przestudiował moją literaturę i zadecydował, że coś tu nie klapuje.

Około godz. 11 rano ppłk. G. zjawił się w moim namiocie w towarzystwie adiutanta i oficera ewidencji personalnej. Chłop był zawsze serio i bardzo wojskowy z natury więc od razu przystąpił do rzeczy w sposób jak najbardziej służbowy.

— Majorze! Otrzymałem wczoraj wasze etaty. Narobiliście bigosu. Nie mogę teraz z ręką na sercu zameldować generałowi, że pułk mój jest gotów i zapięty na ostatni guzik — jak był wczoraj.

— Co się stało, panie pułkowniku?

— To, proszę pana, że mam kapelana przewidzianego w etacie.

— Ależ, panie pułkowniku!...

— Nie ma, proszę pana, żadnego ale. To fakt. Obsadzone mam całe dowództwo, kwatery, szwadrony, ale nie mam księdza. Kiedy go dostanę?

— To nieważne, panie pułkowniku — powiedziałam. — Przydzielę dziś pułk pański w rozkazie dziennym do 24 pułku ułanów dla posługi religijnej i wszystko będzie w porządku.

— Nie będzie w porządku, bo pułk ma mieć własnego kapelana i musi go mieć.

— Ależ panie pułkowniku, — próbuję się bronić — przecież dla 54 ludzi, a taki jest obecnie stan pańskiego pułku, nie można dawać osobnego kapelana. Nie byłoby to logiczne.

— Drogi majorze, obawiam się, że pan jest jeszcze bardzo młody i że pańskie pojęcia o porządku i organizacji wojska są z lekka wypaczone. Jeżeli istnieje taki rozkaz, że pułk ma mieć kapelana to pan jest obowiązany wyszukać mi go i przydzielić do pułku bez względu na to, czy uważa pan to za logiczne, czy też nie.

Nadmiar interesantów w namiocie, nawał bieżących spraw i wreszcie cały absurd sytuacji zaczął mi działać na nerwy.

— Niech cię szlag trafi z twoim księdzem! — pomyślałem.

Ale wrodzone poczucie dyscypliny wojskowej przeważało nad impulsem i zamiast do ciężkiej cholery! powiedziałam:

— Tak jest, panie pułkowniku! Zamelduję o całej sprawie generałowi i za kilka dni sprawa się ureguluje.

No, i zaczęło się regulowanie. Codziennie w najróżniejszych godzinach zjawiał się u mnie pułkownik G. i pytał:

— Co z księdzem?

Rzecz jasna, że księdza do jego pułku przydzielić nie mogłem. Po pierwsze nie miałem wolnego kapelana, a po wtóre nawet gdybym miał to trudno było by przydzielać go do obsługi 50 osób, które ani nie myślały umierać, ani spowiadać się częściej, niż raz koło Wielkiej Nocy, a w niedziele mogły chodzić na mszę obozową odprawianą przez jednego z kapelanów pułkowych.

Początkowo ciągle jeszcze starałem się wy-

tłumaczyć pułkownikowi G. niedorzeczność jego żądania. Twierdziłem, że pułk się nie zawali, jeżeli jeden etat oficerski nie zostanie obsadzony, gdy jest do zapelnienia 500 etatów szeregowych.

Szkoda jednak było gadać. Dysputy ciągnęły się w nieskończoność, zajmowały mi cenny czas i przyciągały niepowołanych słuchaczy, którzy mieli bezpłatną uciechę przysłuchując się kłótniom pułkownika z majorem o jakiegoś księdza.

Widząc całkowitą nieskuteczność moich argumentów postanowiłem zagrać na zwłokę.

Na wszelki wypadek zameldowałem jednak o wszystkim generałowi Dreszerowi. Ale generał, który miał ogromny zmysł humoru, uznał całą historię za doskonały kawał i zamiast potraktować sprawę serio podjudzał jeszcze pułkownika G., pytając tonem urzędowym:

— Gdzie pański ksiądz? Widzę, że pan pułkownik nie bardzo się troszczy o jego przydział. Niech pan naciska Koszutskiego; musi być przecież jakiś ład w etatach.

Pułkownik biorąc na serio wymówki generała i czując jego poparcie dusił mnie niemiłosiernie. Słowo *generał* było moim ostatnim gwoździem do trumny.

— No, jak tak to dobrze — pomyślałem i powiedziałem pułkownikowi G., że kapelana dostanie; tylko musi poczekać, gdyż na razie nie ma w obozie księdza bez przydziału.

— Zawsze wiedziałem, że z pana morowy chłop — powiedział G. — Niech pan wstąpi dziś do nas na kieliszek. Wypijemy na zgodę.

Na kieliszek wstąpiłem. A jakże! Był nie jeden, ale "w większych ilościach". Wypiliśmy z G. bruderszaf i piliśmy pod wszystkich kapelanów świata, pod pułk zapasowy, konną artylerię i już nie wiem pod co. Przymierze zostało zawarte i sądziłem, że wszystko się skończy na mojej obietnicy, której G. po wspólnym pijaństwie nie będzie miał serca wykorzystywać. Byłem jednak naiwny, trzeba było lepiej znać G.

Po trzech dniach błęgiego spokoju G. zjawił się znowu w moim namiocie. Przywitaliśmy się ogromnie czule.

— Co z księdzem — pyta G.

— Robi się. Ale w korpusie okropny bałagan, nie spiesz się z przydziałami — kłamię beczelnie.

— Ciśnij, bracie, tych urzędasów. Ciśnij ich bez litości. Tu jest wojsko a oni tego nigdy nie mogą zrozumieć.

— Zrobi się — odpowiadam. — Bądź spokojny i miej trochę cierpliwości, a wszystko się wyklaruje.

Nie wiem czy pułkownik G. był spokojny, ale cierpliwości nie miał za grosz. Może myślał, że Battle of Britain i lanie spuszczone lotnikom niemieckim przyspieszy inwazję na kontynent, że zaraz nas tam wyślą i że pułk jego rozpocznie świętą walkę o wyzwolenie bez błogosławieństwa własnego kapelana. Wcale się więc nie uspokoił, odwrotnie — stawał się coraz bardziej natarczywy. Po kilku dniach zapomniał nawet o bruderszafie i gnębił mnie codziennymi wizytami, tytułując panem majorem, pytając niezmiennie:

— Co z księdzem?

Obrzydził mi do cna życie, znenawidziłem to swoje: *robi się* aż wreszcie z desperacji wpadłem na szatański pomysł.

— Mam księdza — powiedziałam — dziś go panu przydzielę w rozkazie dziennym.

— Nareszcie — oświadczył z godnością G. i bez dalszych komentarzy opuścił namiot, aby jak najprędzej obwieścić podwładnym z niecierpliwością oczekujących posługi religijnej radosną nowinę.

Muszę tu teraz zrobić małą dygresję; chębowiem wyjaśnić skąd się w mojej głowie zrodziła genialna idea, do której skłoniły mnie okoliczności i rozpacz.

Gонец oddziału organizacyjnego, starszy strzelec Martyniuk, poza dodatkową funkcją,

ordynansa pełnił też inne usługi: dostarczał mi jaja, śmietanę i wartościowe informacje o całym niemal obozie. Chłop był rozgarnięty. Znał osobiście wszystkich prawie szeregowych i o każdym miał wyrobioną opinię. Często też krytykował moje przydziały.

— Takiego lacha przydzielił pan major do 10 pułku strzelców konnych. Chłop rozlatuje się od wody. Trzeba go było dać do kompanii sanitarniej.

(W tym miejscu przepraszam najmocniej majora Pawłowicza, szefa sanitarnego brygady. Mieliśmy wówczas, w roku 1940, nietęgę pojęcie o żołnierskich służbach zdrowia. Później w walce przekonaliśmy się, że jest inaczej, że z zawodem lapiducha wiąże się sprawność bojowa i odwaga. —) I tacy byli żołnierze służby zdrowia. W jesieni 1940 r. Martyniuk jednak był innego zdania.

Albo:

— Takiego fajnego chłopca dawać do dowództwa korpusu! Szkoda, bo się rozładaczy.

Ulubionym wyrażeniem Martyniuka, gdy chciał określić charakter i wartość kogoś w negatywnym znaczeniu tego słowa było: *mientki*.

— Co to za gość ten kapral, który przyjechał wczoraj z Glasgow? — pytam Martyniuka, goląc się.

— Mientki, mientki, panie majorze, — odpowiada mój nieoceniony informator.

I muszę powiedzieć, że Martyniuk mylił się rzadko.

Mnie zaś wyraz: *mientki* podobał się bardzo, może ze względu na specjalny ton z jakim Martyniuk go wymawiał, może z uwagi na dosadność i wyrazistość powiedzonka, mniejsza zresztą dlaczego. Dość, że to właśnie słowo stało się dla mnie natchnieniem.

W końcu września ukazał się w Douglas rozkaz dzienny 10 brygady kawalerii, w którym pod punktem "przydziały" znalazło się następujące zdanie:

"Księżda - kapitana Mientkiego Feliksa przydzielam do pułku zapasowego ppłk. G. na stanowisko kapelana. Podstawa: Rozkaz Dzienny I Korp. Nr. 105 pkt. 111/b."

Rozkaz ten, jak każdy inny, został podpisany przez szefa sztabu "za zgodność" i jak każdy inny zaopatrzony wzmianką: "referował mjr. dypl. S.K."

Muszę wyznać, że było mi trochę nieswojo. Co innego ustne obietnice, a co innego kpiny w oficjalnym rozkazie z autentycznymi podpisami i powoływaniem się na nieistniejący rozkaz Dowództwa Korpusu. Ale czego człowiek nie robi dla świętego spokoju, przyciśnięty do muru!

G. przyszedł nazajutrz z podziękowaniem. Byłem znowu "morowy chłop". Wieczorem zalałem się w pestkę z zapasowymi oficerami na intencję porządku wojskowego, ale niezupełnie to uspokoiło moje sumienie. Cóż jednak było robić? Kości zostały rzucone.

Po pijaństwie G. w świetnym nastroju (ja natomiast miałem przykry kacemajster fizyczny i duchowy) zaczął mnie wypytywać kiedy ksiądz Mientki zamelduje się w pułku.

— Trudno powiedzieć — odparłem. — W Polsce powinien by to zrobić w ciągu dwóch tygodni zgodnie z dyscypliną przeniesień. Ale tutaj diabli wiedzą jak to długo może potrwać. Ja zresztą nie mam na to wpływu. Sorry.

G. wyraźnie posmutniał. Nic jednak nie powiedział.

Dziesięć dni minęło spokojnie. Jedenastego dnia jednak grzechy moje zaczęły mnie odnajdywać.

Zjawił się G. i pozornie obojętnie powiada:

— A Mientkiego nie ma!

Przeszedł mnie dreszcz. Wyczułem coś niedobrego w olimpijskim spokoju pułkownika.

— Masz tu karty dezercyjne i meldunek do sądu polowego. Musisz to wysłać do korpusu — powiedział po dramatycznej przerwie.

(Dokończenie na str. 6)

DOLINA WIELKICH JEZIOR MAZURSKICH

Dolina Wielkich Jezior Mazurskich leży we wschodniej części województwa olsztyńskiego i rozciąga się od Węgorzewa na północy do Pisz i Rucianego na południu. Południową część doliny zarastają rozległe lasy Puszczy Piskiej, która zajmuje powierzchnię blisko 1.000 km².

Kraina Tysiąca Jezior — to szereg pięknych szlaków turystycznych — pieszych, wodnych i kołowych — dla wycieczkowiczów i wszystkich, którzy szukają odpoczynku w kontakcie z przyrodą bujną i pierwotną w swej postaci.

Najpopularniejsza trasa turystyczna wiedzie tu przez Ruciane, Mikołajki i Giżycko. Z Rucianego — malowniczej osady na południowym krańcu Doliny Wielkich Jezior, wiele szlaków pieszych prowadzi do pięknych partii Puszczy Piskiej, gdzie lasy zachowały najbardziej pierwotny charakter, mimo że od dłuższego już czasu leśnik, a nie wiatr czuwa nad ich obsiewem.

Jezioro Nidzkie, u którego nasady leży osada Ruciane, przyciąga wielu turystów. Wszyscy chcieliby stać się świadkami jedyne w swoim rodzaju zjawiska "pożaru wód". Co pewien czas bowiem, raz na kilkadziesiąt lat czarnoniebieskie wody jeziora pokrywają szybko zwiększające się czerwone plamy, aż w końcu cała powierzchnia staje się jednolicie czerwona.

Jezioro płonie!

Zjawisko to powodowane jest szybkim rozmnażaniem się niskoustrojowego żyjątko Euglena Sangvinea. Ostatni raz obserwowano je w jesieni 1920 roku.

Rezerwat czapli na wysokim brzegu jeziora Nidzkiego, łabędzi — na jeziorze Łuknajno, czy kormoranów — na jeziorze Dobskim, to magnes dla wielu "myśliwych", którzy pragną własnym aparatem fotograficznym "ustrzelić" parę tych egzotycznych w innych częściach kraju ptaków.

Szeroko rozlane jezioro Śniardwy o powierzchni około 106 km², o wodach cichych i spokojnych w dnie bezwietrzne i pogodne, a zbalwanionych grzywiastymi falami dochodzącymi do 1,5 m wysokości w czasie burzy, a nawet silnego wiatru — to raj dla amatorów żaglówek i

jachtów. Kajakarze powinni jednak zawsze pamiętać o zmienności pogody i trzymać się raczej brzegów. Wzburzone jezioro Śniardwy jest niebezpieczne nawet dla większych łodzi.

Rzeka Krutynia stanowi wymarzony szlak dla kajakowców. Wypływa z jeziora Krutynskiego i zielonym tunelem, stworzonym przez wysokie stare drzewa płynnie dużymi łukami przez powiat mrągowski, później koło Ukty skręca na północ i wpada do jeziora Beldany.

Podczas wędrowki przez wsie mazurskie skryte w lasach Puszczy Piskiej warto zwrócić uwagę na dekorację chat, w której zachowało się jeszcze wiele dawnych cech budownictwa mazurskiego. Chaty zwrócone szczytem do drogi mają mazurskie podcienia o trzech kunsztownie rzeźbionych słupach. Szczyt chaty zdobi ogromny pazdur — ozdoba bardzo starannie modelowana i rzeźbiona w drzewie. Ponadto przetrwało również wiele budynków z ganeczkami, zdradzających naśladownictwo polskich dworców szlacheckich.

Mikołajki — to niewielkie miasteczko, usytuowane w centralnym punkcie Doliny Wielkich Jezior Mazurskich, w połowie długiego szlaku wodnego z Węgorzewa i Giżycka do Rucianego i Pisz. Położenie nad jeziorem przy rozległym szlaku wodnym i w pobliżu lasów Puszczy Piskiej wysunęło Mikołajki do roli znanego w całym kraju ośrodka turystycznego i sportowego.

Ale na Mazurach atrakcyjne są nie tylko letnie miesiące. Wspaniałe lasy Puszczy Piskiej — to królestwo dla myśliwych, którzy lubią zasadzać się na grubego zwierzca. Tereny te stały się już popularne daleko poza granicami Polski. W Puszczy Boreckiej trafia się ryś, a jeleni w Puszczy Piskiej nie ustępuje sławą jeleniowi karpackiemu. Na wiosnę i jesienią pełno tu kaczek i gęsi, które chętnie koczują na mazurskich jeziorach.

Zimą zaś, gdy lód pokryje tafle wód, a śnieg zalegnie w lasach, gdy jeziora znieruchomią, a z drzew zwisają srebrne kiście — po wielkich białych przestrzeniach skutych lodem jezior mkną amatorzy sportu bojerowego.



Rzeka Krutynia.

Książ Mientki

(Dokończenie ze str. 5)

— Daj, bracie, spokój! Lepiej trochę poczekać. Po co robić człowiekowi przykrość? Nie wiadomo — może jest chory, a może nie zwolniono go jeszcze z poprzedniego miejsca. Nigdzie poza tym nie jest napisane, że trzeba się meldować w dziesięć dni po ukazaniu się rozkazu. Nie mam wreszcie prawa wysłać kart dezercyjnych przed upływem dwóch tygodni.

— Masz rację. Trzeba jeszcze te cztery dni poczekać — ustąpił G.

— Narobiłem sobie biedy — pomyślałem i oczyma wyobraźni widziałem już wyspę Rothsay, jako koniec mojej kariery wojskowej. Pojadę tam, szkoda gadać!

Wieczorem udałem się do generała i wyśpiewałem się ze skruchą z "nadużycia władzy", fałszerstwa rozkazu dziennego i oszukiwania pułkownika G., jednym słowem ze wszystkiego!

Generał zamiast zawiesić mnie w czynnościach uśmieł się serdecznie, ale wcale nie myślał wyciągać mnie z opresji. Wprost odwrotnie. Nazajutrz, kiedy spotkał G., zagadnął go tonem służbowym:

— Dlaczego pan pułkownik nie zameldował się z nowym kapelanem? Czasu było chyba dość.

— Panie generale, melduję posłusznie — książ Mientki jeszcze się nie zameldował. Właśnie chcę wysłać karty dezercyjne.

— I dobrze pan zrobi. Jakiś porządek przeciwieć musi być. Proszę mi zameldować wynik.

Biedny G. pobladał słysząc tę srogą wymówkę i z miejsca przyleciał do mnie. Poparty, jak mu się zdawało, generalskim autorytetem natarł na mnie ostro:

— Generał kazał wysłać natychmiast karty dezercyjne na Mientkiego. Przyniosłem je właśnie wypełnione.

Co było robić? Wziąłem nieszczęsne karty i oczywiście, spaliłem.

Odtąd zaczęły mnie po nocach nawiedzać koszmary w snach bowiem widywałem pułkownika G. jak na wielkim baranie goni po szkockich górach widmo w sutannie.

Nie napróżno! Po kilku dniach zjawiał się G. nie na baranie, tylko na piechotę, za to ja miałem chęć zwać przed nim w góry.

Pyta ostro:

— Masz odpowiedź z korpusu?

— Nie, nie mam jeszcze nic — odpowiadam potulnie. — Musisz trochę poczekać.

— Ja już czekam pięć tygodni i mam tego dosyć. Generał robi mi wymówki, oficerowie śmieją się, a ja jestem za wszystko odpowiedzialny. Jutro jadę do korpusu, wystaraj mi się o samochód.

— Jeżeli myślisz, bracie, że dostaniesz ode mnie samochód to prędzej duch Mientkiego się zmaterializuje lub ciebie szlag trafi razem ze wszystkimi etatami — chciałem powiedzieć.

Zatrzymałem się jednak w porę.

— Wykluczone — oświadczyłem grzecznie i spokojnie. — Jak wiesz, mamy tylko dwa samochody osobowe — jeden należy do generała, a drugi jest przeznaczony na wszystkie inne rozjazdy służbowe. Jeżeli zapiszesz się na kolejkę to może otrzymasz przydział za dwa miesiące. Nic ci tu poradzić nie mogę.

Poczułem się prawie bezpieczny.

Autobusem, ani koleją chłop nie pojedzie bo by zginął nie znając ani słowa po angielsku. Liftu nie dostanie również za skarbę świata. Piechotą nie dojdzie. Zresztą przeciwko temu zbuntowałaby się cała jego natura wojskowa wychowana nawiasem mówiąc w kawalerii. Telefonem się nie dogada poprzez centrale angielskie. Może się zamartwi na śmierć. Może się zapije ze zgrozoty. Może zameczy pułk swoją własną udręką.

Ale ja mu najwyżej dam samochód do szpitala.

Gdyby bowiem G. dotarł w jakiś sposób do Dowództwa korpusu i wyszła na jaw historia przydziału księdza Mientkiego w sfingowanym rozkazy dziennym to po pierwsze wpakowałbym w ładny bigos generała, a po wtóre pojechałbym jak amen w pacierzu na pokutę na wyspę Rothsay. W ostatnich czasach korpus stał się bowiem ogromnie groźny i w każdym rozkazy było coś o dyscyplinie, morale wojska itd.

Nie, bracie!

Chociaż miałem pewność, że G. nie ma szans, żeby wyjechać na własną rękę z Douglas, przedsięwzięłem wszystkie niezbędne środki ostrożności. Przepiłem m.in. gażę z kwatremistrzem i szefem służby samochodowej, wymagając na nich, żeby nie ważyli się dać G. samochodu, jako że oni stanowczo więcej niż ja dysponowali środkami lokomocji brygady.

Biedny pułk. G. szalał teraz za samochodem, zatruwając życie innym, stosując prośby, groźby i whisky. Do mnie przychodził codziennie nadal, pytając po swojemu, czy nie ma odpowiedzi na jego karty dezercyjne. Chociaż był o wiele mniej natarczywy to jednak to jego wieczne pytanie tak mi obrzydło, że wylałem od siebie Martyniuka, kreatora nazwiska księdza Mientkiego, sam zaś rozważałem możliwość dezercji z 10 Brygady Kawalerii.

Wszystko jednak się kończy. Każde nieszczęście ma swoje dno, a każdy grzesznik odkupienie.

Nadeszły rozkazy przenoszące wszystkich oficerów nadetatowych do specjalnych zgrupowań. Musieliśmy więc i my odesłać swoich. Tak przestał istnieć "Pułk Zapasowy ppłk. G."

Wyrokiem śmierci dla pułku był punkt w rozkazy dziennym:

"Z dniem... zlikwidowany zostaje pułk zapasowy 10 brygady kawalerii... Niżej wymienieni zostają przeniesieni do..."

Następowała długa lista imienna tych, których przez długi czas starał się ocalić przed owym dopustem bożym.

W dwa lub trzy dni po tym zjawiał się w dowództwie brygady podpułkownik G. z adiutantem i oficerem ewidencyjnym, dźwigającym górę papierów.

— Generał wolny? Chcę się zameldować. Może i pan będzie obecny przy moim meldunku, ponieważ mam też do omówienia sprawy organizacyjne i personalne.

Poszliśmy.

— Panie generale, melduję posłusznie rozwiązanie i likwidację pułku, — zaraportował G. — Wszyscy otrzymali nowe przydziały i dziś się rozjeżdżają. Tylko jeden człowiek pozostaje nadal w ewidencji i nie wiem co z nim zrobić. Książ kapelan Mientki nie otrzymał przeniesienia.

Ze generał wytrzymał nerwowo ten cios to byłem dla niego naprawdę pełen podziwu.

— Trzeba to załatwić, majorze, — powiedział z całą powagą. — Ten wasz oddział organizacyjny zawsze coś nawali.

Złapał mnie taki paroksyzm śmiechu, że dusząc się uciekłem z namiotu.

— On jest bardzo przepracowany i bierze bardzo do serca każdą wymówkę. Ot, młody! — powiedział generał, usprawiedliwiając moje nieco dziwne zachowanie się w czasie raportu.

Nazajutrz napisałem w rozkazy:

"Anuluje punkt... rozk. dz. 10 B.K. — przydział ks. kapelana Mientkiego do pułku zapasowego ppłk. G."

I taki był koniec kariery kawalerskiej tego duchownego.

Z ppłk. G. rozstaliśmy się jak najserdeczniej.

— Bywaj zdrów — powiedział — dziękuję ci za współpracę i życzliwość do pułku. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

Nie spotkaliśmy się jednak. Ppłk. G. poległ pod Monte Cassino, jako dzielny żołnierz na czele pułku, który istniał naprawdę i którego rzeczywisty kapelan miał zapewne pełne ręce roboty.

G. nigdy się nie dowiedział o moim niewczesnym żarciu i nigdy się już o nim nie dowie. Sądzę, że przez to wspomnienie nie uwłaczam czci prawego człowieka. Wszyscy mamy swoje słabości. Słabością nie tylko G. ale większości wojska i wojskowych, jest i było słowo regulamin, liczba w etacie i numer rozkazu.

Ale i to można wybaczyć, gdy ostatnią zapłatą za służbę jest grób gdzieś pod Monte Cassino lub nad Mozą.

FRASZKI

O LEKARZACH

Lekarz sam się nie leczy
kiedy zachoruje
w obawie, że od tego zginie,
czym wojuje.

POCIECHA

Gdy żyjesz, jak Bóg kazał,
A mało masz chleba
Pomnij, że niezbadane
Są rządzenia nieba.

NIE CZYN DRUGIEMU...

Czyn tylko wtedy drugim,
Co tobie niemile,
Gdyś pewien, że masz większą,
Niżli oni siłę.

KRUK KRUKOWI...

Kruk szanuje oko kruka.
Wilk w wilku grozy nie budzi.
Gryźć się wzajem między sobą
To przywilej psów i ludzi.

KTO NA CIEBIE KAMIENIEM...

Mówią, że za kamienie
Piścić chlebem trzeba.
Zgoda! Byle by tylko
Nie zabrakło chleba.

KOMENTARZ

Gdybym ja była
Słoneczkiem na niebie
Nie świeciłabym,
Jak tylko dla ciebie...

A Bóg kopnąłby to słoneczko w zadek
Za taki sabotażu jaskrawy przypadek.

Fr. G.

W KILKU WIERSZACH

Już trzeci rok trwają prace przy przekopie Rybitwiej Mielizny między Kuźnicą a Rewą. Pogłębiarki kopią tu długą rynnę, która pozwoli na swobodną cyrkulację wód w Zatoce Puckiej, a jednocześnie umożliwi zawijanie do Kuźnicy większym jednostkom rybackim. Inwestycja ta ma duże znaczenie dla rybołówstwa przybrzeżnego. Mielizna dzieląca na pół Zatokę Pucką utrudnia bowiem wędrówkę ryb, szczególnie węgorzy. Prace wykonane już w 70 proc. — zostaną w tym roku zakończone. Dalszą inwestycją jest rozpoczęta w b. r. budowa portu w Kuźnicy.

MOJA ZNAJOMOŚĆ Z BROCHWICZEM

SEWERYN A. HARTMAN

Przeglądając niedawno wspomnienia Arnolda Szyfmana natrafiłem na wzmiankę o Stanisławie Brochwiczu.

Aresztowany przez Gestapo Szyfman dostaje się do więzienia na Daniłowiczowskiej. Wprowadzają go do celi.

"Część więźniów już leżała. Gdy wszedłem, zerwali się i z zaciekawieniem otoczyli mnie. Już nawet jeden mnie poznał: "A toż to Szyfman!" Przede mną stał dobrze mi znany dziennikarz Brochwicz, o którym słyszałem niedawno od Karola Adwentowicza, że należy go się strzec, bo jest konfidentem Gestapo."

"Od razu padły pytania: "Za co?" Opowiedziałem mniej więcej wszystko. Jedni uważali, że to sprawa bagatelna, lecz Brochwicz przepowiadał mi "dwa lata lub obóz koncentracyjny". Mówił to głosem drżącym z mściwości. Był to bowiem jeden z owych niebezpiecznych grafomanów fabrykujących straszne sztuczki, które musiałem czytać i odrzucać. Teraz sycił się zemstą, widząc mnie w tak oplakany stanie".

"Do mnie Brochwicz... bez przerwy się przyczepiał, krytykując moją działalność. Unikałem tych dyskusji, jak i wszelkich innych, ale Brochwicz był chyba najbezczelniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem. Toteż niejednokrotnie, — po prostu sterroryzowany, musiałem odpowiadać na jego pytania, — do gdy czuł, że nie chce z nim rozmawiać i zrywam go monosylabami upadał w wściekłość. Zresztą Brochwicz robił to samo z innymi i zamęczał nas wszystkich. Poza tym musieliśmy wysłuchiwać długich monologów o jego stosunkach i wpływach politycznych przed wojną i obecnie... Opowiadał nam szczegółowo o swoim rzekomym pokrewieństwie z wodzem naczelny armii niemieckiej generałem Brauchitschem, który ma nie tylko ten sam herb, co on, lecz i nazwisko to samo, tyle że zmienione przez niemiecką pisownię. On, Brochwicz, dostał się tu, jak twierdził, tylko wskutek jakiegoś nieporozumienia, ale lada dzień wszystko się wyjaśni, tym bardziej, że jest żarzony z siostrą jednego z dygnitarzy partii hitlerowskiej. O Hitlerze inaczej nie mówił jak "nasz Führer", Polskę zaś szkalował i obryzgiwał błotem. A myśmy byli zmuszeni słuchać tego wszystkiego, mimo że krew nas zalewała i chętnie byśmy go zadusili."

"Ja nienawidziłem Brochwicza wprost fizycznie, bo poza tym wszystkim był to jeszcze najwstrętniejszy brudas jakiego widziałem przez cały czas więzienia. Nie zdejmował nigdy koszuli i właściwie wcale się nie mył, oplukiwał tylko palce i czubek nosa".

Ten plastyczny opis przypomniał mi moją znajomość z Stanisławem Brochwiczem.

Poznałem go na dwa lata przed wojną. W maju 1937 r. spędziłem urlop na adriatyckiej wyspie Solta. Maj to nie był sezon. W pensjonacie, który zwał się Domem Polskim nad Adriatykiem, przebywali tylko nieliczni goście, astronom dr. Jan Gadomski z żoną i dr. Jaroszewicz, ordynator szpitala Świętego Ducha w Warszawie. Drowi Jaroszewiczowi towarzyszyła matka, kobieta małomówna i dobrodusza, ważąca ze sto pięćdziesiąt kilogramów, okaz swego rodzaju. Dr. Jaroszewicz był specjalistą od cho-

rób żołądka i dwunastnicy. Sam zresztą miał wrzód dwunastnicy, a jedząc wszystko i nie stosując z zasady diety, narażał się własnowolnie na bolesne ataki, w czasie których zaklinał się, że gdy tylko przyjedzie do Warszawy podda się zaraz operacji. Jednym z jego koników była niewiara w aseptykę. Twierdził, że nie należy przesadnie szorować owoców i warzyw, że organizm powinien mieć sposobność do walki z drobnoustrojami, gdyż inaczej nie będzie się mógł uodpornić.

Do kraju wracaliśmy wspólnie. Z namowy dra Jaroszewicza zatrzymaliśmy się po drodze na kilka dni w Wiedniu. Zaraz pierwszego dnia wieczorem dr Jaroszewicz przedstawił mi wysokiego i dość korpulentnego blondyna o małych niebieskich oczkach i zmysłowych ustach.

— Rodak nasz, Stanisław Brochwicz, literat.

W zachowaniu Brochwicza było coś co przypominało łaszenie się psa, kiedy chce wkraść się w łaskę. Jednocześnie był złośliwie impertynencki. Nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia, coś mnie od niego odpychało. Nie paliłem się do postrzymywania tej znajomości. Ale Brochwicz nie dał się łatwo spławić. Towarzyszył nam wytrwale przez cały czas pobytu w Wiedniu. Jego gwałtowny, hałaśliwy śmiech i niewybredne dowcipy psuły mi nastrój. Z ulgą opuściłem Wiedeń. Brochwicz został. Nie wiem co tam robił. Mówił, że jest korespondentem Polski Zbrojnej.

Myślałem, że nigdy go już nie zobaczę, ale odnalazł mnie w jakiś czas potem w Ministerstwie Opieki Społecznej, gdzie wówczas pracowałem. Zaraz się zamówił do domu, a gdy przyszedł zdawało się, że zapełnił sobą całą jadalnię. Usta mu się dosłownie nie zamykały; to co mówił dotyczyło przede wszystkim własnej osoby. Dowiedziałem się, że ojciec jego, pułkownik, był dowódcą dywizji piechoty na Wołyniu, że umarł przed kilku laty i że teraz on, Brochwicz, całe uczucie przeniósł na matkę, którą uwielbia. To opowiadanie o matce miało w sobie coś obsesyjnego, mogło świadczyć równie dobrze o wyjątkowym synowskim przywiązaniu, jak i o pozie i chęci przedstawienia siebie w korzystnym świetle.

Mówienie nie przeszkadzało mu w jedzeniu i w picciu. Nie był wyrafinowanym smakoszem. Pochłaniał bez wyboru wszystko co mu się dało. Myślę, że to olbrzymie cielsko wymagało wielkich ilości pokarmu, było to u niego naturalne. Ale mnie napełniało to przerażeniem, rozumiałem niepokój liliputów, gdy musieli żywić Guliwera.

Po kolacji rozwalili się na kanapie i zamilkli na jakieś dziesięć minut; trawili. Potem wróciła mu mowność, cytował swoje wiersze, opowiadał o nowelach, które napisał lub miał zamiar napisać. Uważał się za genialnego faceta, trochę zapoznanego, ale o mурowanej przyszłości.

Późno w nocy odprowadziłem go do przystanku tramwajowego, a raczej usiłowałem odprowadzić, ponieważ wędrowaliśmy wielokrotnie od przystanku do domu i odwrotnie. Cały czas Brochwicz

deklował jakiś tasiemcowy wiersz, była to straszliwa chała.

Od owego pamiętnego wieczoru odwiedzał mnie coraz częściej. Udało mu się nakłonić mnie do wypicia z nim bruderszaftu pomimo oporu, który stawiałem. Zaprosił mnie wreszcie do siebie. Mieszkał w pobliżu placu Unii w dość obszernej kawalerce. Wtedy poznałem jego matkę. Była to kobieta o ciemnych oczach z wyglądu przypominająca Ukrainkę. Nie sądzę, aby była nienormalna, ale jednak miała w sobie coś niesamowitego. W czarnej sukni, w czarnej mantylce na ramionach; brakowało tylko czarnego kota. Nie przebywała z nami długo, wyszła zaraz do kuchni, a Brochwicz zacieraając ręce powiedział:

— Zobaczysz, jeszcze takiego żarcia nie widziałeś!

Po chwili drzwi się otworzyły i pani Brochwiczowa wniosła olbrzymie befsztyki ugarniowane stosem smażonej cebuli. Stół był nakryty tylko na dwie osoby. Zapytałem panią Brochwiczową dlaczego nie siada z nami. Odparła, że jest chora na serce, przegryzła już coś lekkiego i żebym się jej osobą nie krępował.

Brochwicz już siedział przy stole, widziałem, że się niecierpliwi. Nałożył sobie kopsiastą porcję kartofli i sałaty pomidorowej i sięgnął po butelkę. Był to bardzo słodki maliniak, którego nie znoszę. Wypiłem z grzeczności jeden kieliszek, Brochwicz namawiał mnie usilnie na repetę, ale widząc bezskuteczność wysiłków nalewał już tylko sobie. Przekonałem się wtedy, że ma silną głowę. O czy mu tylko błyszczały, wsiadł na wysokiego konia polityki, zaczął chwalić Niemców i Hitlera i wyrzekać na gospodarkę polską.

— Tam jest porządek — mówił a u nas co? Zobaczysz, to się źle skończy

Wtedy po raz pierwszy zrodziło się we mnie jakieś nieokreślone podejrzenie.

W jakiś czas po tym wyjechał. Nie widziałem go przez kilka miesięcy. Dowiedziałem się później, że bawił w Czechosłowacji i w Turcji.

W tym czasie — była to druga połowa roku 1938 — powierzono mi redakcję nowego tygodnika literacko-naukowego "Barwny świat". Pewnego wieczora Erochwicz zjawił się w redakcji, przyniósł reportaż z Turcji, był jakiś dziwnie podniecony.

— Rzuć to wszystko — powiedział — pójdziemy do knajpy. Muszę z tobą pogadać.

Pojechaliśmy do Adrii. Brochwicz wybrał boczny stolik i kiedy usiadłem nachylił się do mnie z tajemniczą miną:

— Możemy zarobić dużo forsy.

Wyłożył mi swój plan. Było to po Anschlussie i niektórzy austriaccy obywatele pragnęli za wszelką cenę opuścić kraj. Wielu z nich chciało się przenieść do Polski.

— Ty przy swoich stosunkach — mówił Brochwicz — bez trudności będziesz mógł wyrobić prawo wjazdu, a ja już postaram się o klientów i pieniądze. Podzielimy się po połowie.

Powiedziałem, że przecenia moje znajomości, a poza tym czy uważa, że dokonywanie tego rodzaju transakcji jest moralne? Było to, oczywiście, bardzo naiwne pytanie i Brochwicz musiał się z tego dobrze uśmieć wewnętrznie.

Nie nalegał jednak. Po twarzy przebiegł mu cień. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, a potem zaczął opowiadać, że matka czuje się gorzej, że stan jej serca budzi obawy i że on, Brochwicz, popełni samobójstwo, gdyby umarła.

(Dokończenie na str. 8-iej)

STRONICA CZYTELNIKA

Szukajmy nowych dróg

JÓZEF GRABIAS

Kiedy się pewnego razu zastanawiałem nad zagadnieniami życia ludzkiego uderzyło mnie podobieństwo praw przyrody do prawideł życia człowieka.

Weźmy np. zasadę dźwigni w fizyce. Zgodnie z tą zasadą im większe jest ramie siły w porównaniu z ramieniem oporu tym mniejszą siłę trzeba stosować ale jednocześnie tracimy na przestrzeni. Czyli jeżeli zyskamy na czymś musimy stracić na czymś innym.

To samo prawidło przejawia się w życiu ludzkim.

Człowiek pragnąc ulżyć sobie w pracy i w ogóle w życiu wynalazł odpowiednie narzędzia. Ale nie zadowolili się tym, postanowili otoczyć się wygodami. W następstwie wygod zaczął tracić odporność, wytrzymałość, jał reagować zdeenerwowaniem na najmniejszą dolegliwość, otluszczył się, stał się ociężały. W wyniku stracił zdrowie. Szukał więc z kolei ratunku w lekarstwach i wszelkiego rodzaju używkach i uwierzył w ich skuteczność do tego stopnia, że jał ich nadużywać.

Oto najbardziej typowe, ale nie jedyne następstwa wygod życiowych. Tym się właśnie za nie płaci.

Weźmy inny przykład. Popadłszy w manię bogacenia się nie zatracamy żywotności. Płacimy jednak czymś innym. Moralność nasza w trakcie bogacenia się nie pozostaje bez uszczerbku. Zatracamy, pogrążając się całkowicie w materializm, pojęcie o właściwym celu życia.

I wreszcie trzeci przykład: praca. Od pewnego czasu nastawiliśmy się na linię najmniejszego oporu, mechanizując pracę, a nawet człowieka, przeznaczając mu miejsce dodatku do maszyny. System ten wzmógł wytwórczość do niebywałych rozmiarów, ale i za to trzeba płacić.

Płaci się zmiennością koniunktur, niebywałą zmiennością warunków pracy zawodowej, co powoduje, że człowiek nie mogąc się całkowicie do tej zmienności przystosować — nastraja się nerwowo, żyje gorączkowo w zwiększającej się stale niepewności. Płaci się również narasta-

niem wszelkiego rodzaju nadużyć na każdym kroku i w każdej dziedzinie.

Cóż, uwierzyliśmy, że: "potrzeby człowieka kulturalnego wzrastają", a "praca jest złem koniecznym".

Nie równie fałszywego.

Trzeba wrócić do kultu pracy. Trzeba uwierzyć, że wygody osłabiają człowieka, jego wolę, wydelikacują organizm. Trzeba uwierzyć, że praca naprawdę uszlachetnia, że praca z zamiłowania i opanowywanie zachcianek prowadzi do uproszczenia dróg życiowych, umiarkowania i stabilizacji.

Wzorumy się na najdzielniejszych jednostkach, które już od wczesnej młodości uczą się odróżniać rzeczywiste potrzeby od zachcianek. Na podłożu wycucia rzeczywistych potrzeb zaprawiają się w trudach, uznając wiedzę teoretyczną jako dodatek dla orientacji w zagadnieniach życiowych.

Tak się składa zazwyczaj, że mają sposobność zapoznania się praktycznie z kilkoma zawodami, co uważam za bardzo pożądane wbrew opinii niektórych wykpiśców utrzymujących, że kto poświęca się wielu dziedzinom zna się na wszystkim powierzchownie.

Fakty jednak mówią, że jest inaczej. Człowiek posiadający wyrobienie życiowe, kilka fachów, stając do pracy, której nie zna gruntownie potrafi szybko nabrać wprawę.

Nie obawiajmy się trudności. Trudności, oczywiście, są wszędzie. Można je jednak pokonać przy odrobinie odwagi i dobrych chęci. To tylko jest potrzebne dla zwiększenia naszych wartości moralnych, umysłowych i fizycznych. Gdy zaś podniesiemy się na wyższy stopień tężyzny duchowej stanie się jasne jak złudne było szukanie szczęścia w bogactwie i wygodach, bo tam go nie ma. Wówczas i spokój ducha stanie się naszym udziałem.

Pewno, że i za to musimy zapłacić. Wysiłek i trud są monetą, którą musimy wydatkować za osiągnięcie tężyzny duchowej. Ale przezorna i hojna przyroda obdarzy nas w zamian jeszcze większymi siłami.

Moja znajomość z Brochwiczem

(Dokończenie ze str. 7)

Po tej niefortunnej próbie zrobienia ze mną interesu Brochwicz długo się nie zjawiał. Odbył w owym czasie podróż po Niemczech hitlerowskich, rzekomo jako korespondent Polski Zbrojnej.

Któregoś popołudnia, było to jakos w wiosnę 1939 r., widziałem go po raz ostatni. Przyjechał limuzyną Ambasady Niemieckiej i chciał mnie zabrać z córką na spacer. Odmówiłem kategorycznie i wtedy po raz pierwszy, zazwyczaj łagodny, nie umiałem się powstrzymać przed powiedzeniem kilku ostrych słów. Nie, nie powiedziałem morałów, ani nie oburzałem się. Poprosiłem po prostu, żeby nie pokazywał mi się więcej na oczy.

Brochwicz nie mówiąc słowa wsiadł do samochodu i odjechał.

Nadeszły pełne niepokoju dni sierpniowe roku 1939. Wszyscy czuliśmy zbliżanie się kataklizmu wojennego. Moi dwaj bracia zmobilizowani znajdowali się już od miesiąca jeden na Pomorzu, drugi na Kresach Wschodnich. Młodszego z nich miałem już nigdy nie zobaczyć — poległ w czasie kampanii wrześniowej.

Pewnego dnia, było to na pięć dni przed wybuchem wojny, znajdowałem się właśnie w ministerstwie, gdy woźny zameldował, że jakaś pani chce się ze mną widzieć.

Po chwili w progu ukazała się Brochwiczowa.

Wydawała się zmieszana i zaferowana. Bez żadnych zbędnych wstępów powiedziała, że syn polecił mi zakomunikować ważną wiadomość, ale że ona może to uczynić tylko w cztery oczy.

Siedziałem wówczas w jednym pokoju z kolegą Tadeuszem Brzezińskim, który później zginął w Oświęcimiu. Byliśmy wszyscy, słusznie, czy niesłusznie, ogarnięci przeczuleniem na tle szpiegostwa. Wiedziałem, że Brochwicz jest ponad wszelką wątpliwość związany z Ambasadą Niemiecką i nie miałem chęci wdawania się w tajemne konwersacje z jego matką. Powiedziałem więc pani Brochwiczowej, że mogę z nią mówić jedynie w obecności kolegi.

Powtórzyła z naciskiem, że wiadomość jest niesłychanie ważna dla mnie i że może ją przekazać jedynie na osobności.

Nie doszliśmy do porozumienia. Później w tragiczne dni wrześniowe zadawałem sobie nieraz pytanie, co też chciał zakomunikować mi Brochwicz. Nigdy na to pytanie nie uzyskałem odpowiedzi.

Kiedy po przeszło pięcioletniej tułaczce w kwietniu 1945 r. powróciłem do Warszawy spotkałem przypadkowo na moście pontonowym pewnego znajomego dziennikarza. Obaj zśliśmy na Pragę, tam się w owych czasach koncentrowało życie. L. znał mojego brata, tego właśnie, który zginął we wrześniu. Rozmawialiśmy o znajomych zamordowanych przez Gestapo, o bohaterstwie, tchórzostwie i zdradzie. Nie wiem przy jakiej okazji padło nazwisko Brochwicza. L. powiedział, że Brochwicz został zastrzelony przez A.K. na Starym Mieście. Leżał na bruku trzy dni, władze niemieckie nie pozwoliły go ruszać — dla dobra śledztwa.

Do dziś przesładuje mnie wizja Brochwicza, leżącego na chodniku, jego olbrzymiego, tłustego cielska, rozkładającego się w promieniach letniego słońca i widzę, wyraźnie widzę przymrużone cynicznie niebieskie oczka i rozchylone w aroganckim uśmiechu pełne zachłanne usta.

MOJE PRZYGYDY W BRAZYLII

STEFAN POCHWATKA

V.

Młodzi ludzie wierzą przeważnie w przeznaczenie. Wielu chciało by znać przyszłość i odwiedza wróżbitów, bo wyrok ich ma być podobno nieomylny. Co do mnie nie bardzo wierzyłem w wróżby, ale nie lekceważyłem ich również. Nie pozwalałem sobie wróżyć, bo się obawiałem. A nuż nie wypadnie pomyślnie i będę się całe życie martwił.

W czasie podróży z Polski do Brazylii przysiadł się do mego stolika na statku nieznaną jegomość i kazał mi przełożyć karty na trzy kupki. Po chwili namysłu przełożyłem.

Mój przygodny znajomy rozłożył karta na stole i powiedział uśmiechając się:

— Miał pan szczęście ale w domu. Tam gdzie pan jedzie szczęścia nie będzie miał.

Rychło o tym zapomniałem ale potem w częstych wędrówkach po Brazylii nieraz mi to przychodziło do głowy. I obecnie, wybierając się w nieznane okolice, pomyślałem, że już taki mój los — włożyć się całe życie po świecie.

Dzień był pochmurny, gdy wczesnym rankiem szedłem szybkim krokiem w kierunku stacji autobusowej. W pobliżu pięknego ogrodu naprzeciw hali targowej zauważyłem autobus, którym miałem jechać. Tak jak by na mnie czekał. Po niedługiej chwili ruszyliśmy w drogę. Obok mnie siedział skromnie ubrany mężczyzna o ciemnej cerze i od czasu do czasu zerkał na mnie.

Mimo woli nawiązałem z nim rozmowę. Był to lekarz zamieszkały w interiorze, właśnie w okolicy, do której się udawałem.

— Patronat polski mylnie pana poinformował — powiedział. — Jeżeli pojedzie pan przez Viamao zrobi pan wielkie koło. Jabym radził, żeby pan wysiadł z autobusu w poł drogi i poszedł do mego domu. A stamtąd przetnie pan kamp i będzie już blisko Santo Antonio de Patrulha. Jeszcze kilka kilometrów i ukaza się zabudowania kolonii polskiej Baixa Grande.

Był to człowiek bardzo uprzejmy i gościnny. Zjadłem smaczny obiad w jego domu, po czym zaopatrzył mnie w list do pewnego wendziarza, u którego miałem zanoć. Ponieważ wybierał się z wizytą do chorego więc pojechałem w jego towarzystwie jeszcze kilka kilometrów na dwukołowej bryczce. Tutaj doktor zjechał w wąską dróżkę życząc mi szczęśliwej podróży.

A ja z nieodłączną towarzyszką, walizką, poszedłem naprzód rozglądając się po nieznanej okolicy. Gdzieś tam z dala od drogi widać było zagrody. Gościniec wiódł przez pola zarosłe krzewami czyli t. zw. kapoeirą. Chociaż było zaledwie po południu zrobiło się naraz ciemno. Niebo zaciągnęły czarne chmury, zaczęło kropić.

Przyspieszyłem kroku. W dali zamajaczył jakiś domek. Deszcz się wzmagał. Zaczęłem biec. Gdy już znajdowałem się w pobliżu domku zaszumiało i lunęło jak z cebra.

Z chaty wyszedł na ganek mężczyzna i wdzając mnie biegnącego wśród ulewy wołał tubalnym głosem:

Ligeiro, ligeiro! (Prędzej, prędzej!)

Gdy ociekając wodą wpadłem na ganek mężczyzna poprosił mnie do mieszkania. Po chwili ukazała się wdzięcznie

uśmiechnięta młoda kobieta. Był to czas podwieczorku. Na stole zjawily się placuszki mandiokowe i kawa. Podwieczorek minął na miłej pogawędce, a że deszcz ustał i gościnni gospodarze zapewnili, iż ów wendziarz, do którego się udawałem, mieszka niedaleko, ruszyłem w dalszą drogę.

Po dwóch kilometrach marszu w błocie ujrzałem okazały murowany budynek. Wręczyłem właścicielowi wendy list od lekarza. Poprosił mnie grzecznie, żebym spoczął, poczęstował sutą kolacją i wskazał przyzwoity pokój, w którym miałem się rozgościć na noc.

Leżąc w miękkiej pościeli i słuchając szumu ulewy rozpamiętywałem swe tułaczce życie w Brazylii. Ogarnęła mnie apatia i zniechęcenie do wszystkiego.

— Ale jestem przecież młody — pocieszałem się — więc może znaleźć coś dla siebie na tym szerokim świecie.

Kiedy się nazajutrz obudziłem dzień okazał się ponury. Deszcz już nie padał, ale ciemne, kłębiaste chmury przewalały się bez końca po niebie.

Gospodarz polecił małemu chłopcu, żeby mi pokazał drogę. Gościniec obniżał się stopniowo, aż znalazłem się w szerokim, rozległym kampie. Słabo wyjeżdżone koleiny drogi zanikały w gęstej trawie; obok ciągnął się płot z drutu kolczastego.

Maszerowałem już kilka godzin po mokrym stepie, gdy zagrodziła mi drogę, rozlana szeroko jak wielkie jezioro, woda. I tylko daleko po drugiej stronie czerniał ciemny pas ziemi.

— Co teraz będzie — pomyślałem. — Jak ja się przeprawię przez tę wodę?

Nigdy nie miałem wyczaju zawracać z drogi. Ale teraz spoglądając smętnie na olbrzymie rozlewisko chciałem się już cofnąć. Wtem na przeciwległym brzegu zauważyłem poruszający się punkt. Punkt ów powoli się przybliżał. Przekonałem się w końcu, że był to jeździec na koniu. Woda sięgała koniowi do brzucha i wydawało się, że jeździec sunie po powierzchni rozlewiska. Gdy był już blisko brzegu postanowiłem się zapytać czy nie przewiozłby mnie na przeciwległy brzeg. Nieznany kawalerzysta za dwa milrejsy przystał na moją propozycję.

Siadłem na konia z tyłu za jeźdźcem. W połowie drogi prąd był dość rwący, koń obciążony podwójnym ciężarem postękiwał, czyniąc wielki wysiłek, żeby go nie zniosło. Na horyzoncie majaczyły góry. Z gór tych, jak wyjaśnił przewoźnik, spływa po ulewny deszczu dużo wody i zalewa zawsze step.

Wkrótce znalazłem się po drugiej stronie rozlewiska, zeskoczyłem z konia i udałem się pieszo w dalszą wędrówkę. Robiło się ciemno. Przeszedłem przez płot z drutu kolczastego na wyższy teren. Naraz do uszu moich dotarł szum, a później tętent, aż się ziemia zatrzęsa. Stałem jak wryty i spojrzałem w bok.

Zbliżała się do mnie jakaś ciemna masa. Rzuciłem się pod druty na drugą stronę ogrodzenia. Wielkie stado dzikiego bydła stepowego pędziło galopem wprost na mnie. Wszystko to przywaliło się do drutu i zatrzymało się nagle z wywieszonymi jęzorami, chrapiąc straszliwie.

— Całe szczęście — pomyślałem — że jakiś niegłupi człowiek wybudował ten płot. Inaczej dzikie bestie stratosowały by mnie na miazgę swymi kopytami.

Dobrą chwilę nie śmiałem się porużyć, a później, gdy oprzytomniałem się, siedłem na walizce i pomyślałem:

— Co ja teraz, biedny, będę robić?

Wydawało mi się, że okropne stwory przewracają groźnie ślepiami, zdradzając wielką ochotę do pobawienia się mną. Popatrzyłem przed siebie. Po tej stronie ogrodzenia, na której się znajdowałem, pasło się również w dali duże stado bydła.

— A więc jestem zgubiony! Przyjdzie mi tu zginąć i nikt się nawet nie dowie o mojej śmierci.

Gdy tak rozmyślałem nad swym losem przyszło mi do głowy, że byłoby boi się w nocy. W pobliżu leżał porządny kij. Podniosłem go.

Przyda się! Trzeba teraz poczekać, aż się dobrze ściemni.

Zaczęło mżyć. Czarne zwały chmur przewalały się nad głową. Nadeszła taka ciemna i ponura noc, że na kilka kroków nie było nic widać. Wziąłem w jedną rękę walizkę, a w drugą kij i ruszyłem. Nagle coś przede mną zaczerniało, rozległo się groźne sapanie. Uderzyłem kijem w drut, który hałaśliwie zabręczał. Moje bydło jak się nie zerwie, jak nie pójdzie w step, aż zahuczało.

A więc to tak! Szedłem sobie dalej śmiało i co pewien czas tłukłem kijem po drucie. Szedłem i szedłem, aż tu nagle zabłysnęła przede mną woda. Znowu woda! Szczęście mi, widać, dopisywało w podróży.

Pomedytowałem trochę i w końcu pomyślałem, że skoro koń przebrnął przez tamto rozlewisko to może i ja przebrnę. Zresztą nie było wyboru. Mówi się: trudno. Wziąłem walizkę na głowę i wlałem do wody. Z początku było płytko — woda sięgała kolan, później pasa, jeszcze później powyżej pasa. Miałem na sobie długą jesionkę, która ciągnęła się po wodzie jak ogon. Do czego ja byłem podobny! Pozał się, Boże. Taka podróż to: sim, Senhor. Przeprowałem się przez rozlewisko może godzinę, może dwie. I wreszcie zaczerniły się przede mną krzaki. Po chwili znalazłem się na suchym łądzie.

— Co teraz będzie? — pomyślałem.

Gdzieś daleko czekał pies. Ale nie miałem już sił. Zadecydowałem, że będę tutaj spał. Nałamałem cienkich gałązek i urządziłem legowisko. Położyłem się. Ale było tak chłodno, że trząsałem się cały, a żeby mi skakały, że musiałem uważać, żeby nie obciąć języka. Coś mi się tam majaczyło do rana. Zdaje się, że byłem nieprzytomny.

Nad ranem chmury znikły. Ukazało się czyste niebo. Kiedy już się dobrze rozwidniło wstałem i rozejrzałem się. I, o dziwo! Niedaleko mnie stał ładny, murowany domek. Szybko do niego podszedłem. Drzwi były otwarte i jakaś kobieta zamiatała izbę.

— Proszę pani, — zapytałem — czy mogę wejść i trochę odpocząć?

— Niech pan wejdzie — odparła kobieta.

Postawiła miotłę w kącie i podała mi krzesło. Po chwili zjawił się starszy wiekiem mężczyzna. Oboje spoglądali na mnie ciekawie. Gdy opowiedziałem moje nocne przygody kobieta załamała ręce i zawołała:

— Meu Deus! Dlaczego pan nie zastukał. My byśmy otworzyli.

156
Jest to fragment powieści biograficznej o wielkim geofizyku, Antonim B. Dobrowolskim.

Młody Antos Dobrowolski wybiera się do Warszawy na studia. Żegna się właśnie z człowiekiem, który przygotował go do egzaminów i finansuje obecnie jego wyprawę do stolicy. Kapitan Rozbicki to dziwak i oryginał.

Rozbicki bez surduta, w samej tylko koszuli i spodniach, wyglądał śmiesznie. W ostatnich czasach bardzo posiwiiał. W dzień nie rzucało się to w oczy, ponieważ czernił wasy i brodę — na tym, zdaje się, polegała tajemnica odmładzania. Ale teraz wyglądał staro, znacznie starzej, niż to wynikało z metryki. Coś mu dolegało, czego nikomu nie mówił i z czym nie zwracał się do lekarzy, w których nie wierzył.

— No to już idź! — powiedział nagle, przerywając wędrowkę po pokoju. — Nie znoszę rozczulających scen.

Podał Antosowi suchą, gorącą rękę. Odwrócił się potem do okna i chrząknął. Chłopiec poczekał chwilę, ale widząc, że Rozbicki stoi nieruchomo i nie odzywa się, wyszedł.

Oschłość tego pożegnania zabolowała go. Nie przypuszczał, że widzi Rozbickiego po raz ostatni i że z tego ostatniego widzenia pozostaną najwięcej w pamięci kościste, duże dłonie splecione z tyłu na bieli koszuli.

Ale młodość prędko zapomina! Albo też zdaje jej się, że zapomina. Obrazy powracają po latach żywe i niezatarte, jakby malowane świeżą farbą, obrazy dzieciństwa: łagodne ręce matki, dawno zmarli koledzy, pejzaże, których już nie ma, przeżycia, które minęły, błahe i nieważne, wiecznie żywe.

Do budy żydowskiej, którą Antos miał jechać, odprowadził go ojciec. Buda, kryta płótnem, czekała na pasażerów koło karczmy.

Ojciec milczał. Trzecie dziecko odchodziło oto na własny chleb. Po starszych — synu i córce — najmłodsze opuszczało dom. Nie mógł mu pomóc więcej, niż radą i błogosławieństwem.

— No, to bądź zdrow! — powiedział wreszcie. — Pamiętaj, gdyby ci było źle — wracaj.

Konie ruszyły stępą, woźnica ich nie poganiał. Z tyłu za Antosiem jeden z pasażerów głośno westchnął.

* * *

Buda wlokła się do Warszawy trzy dni. Stawano na nocleg w przydrożnych gospodach, o świcie ruszano dalej. Jesień w tym roku wypadła wczesna, mgły snuły się z rana i na odwieczny liść tu i ówdzie spadał już z drzew. Ale gdy buda stanęła w końcu u kresu włóczędzy na placu Żelaznej Bramy dzień się udał piękny, słoneczny i nad wszelkie spodziewanie ciepły.

Antos dostał się w tłum przekupniów, paniuszy, kuchci, koni i wozów. Przerażonego chłopca popychano i potrącano. Przyciskał do piersi tłumoczek, uskakując co chwila przed przejeżdżającymi furmankami.

Poczuł się zgubiony, ogarniała go rozpacz. Był już bliski placu, gdy usłyszał znajomy głos. Przed nim zatrzymał się szczupły młodzieniec w czapce z niebieskim otokiem.

— No, więc jesteś. Nie wiedziałem kiedy przyjedziesz i spóźniłem się, — usprawiedliwiał się niby, witając dość powściągliwie Antosia.

Prawde mówiąc, przyjazd brata nie był dla niego szczególnie pożądanym. Z trudnością zdobywał środki na utrzymanie. Idąc ulicą Marszałkowską w stronę banhofu kolei warszawsko-wiedeńskiej zaczął od razu wyjaśniać czego się Antos może spodziewać z jego strony.

— Sam ledwo wiązę koniec z końcem. Dobrze, żebyś o tym wiedział. W ciągu pierwszych lat będę żył na twoje ubranie i książki. Na życie musisz sam zarobić — dodał twardo — mnie też nikt nie dawał darmo jeść, kiedy przyjechałem. Masz trochę pieniędzy?

— Niecałe cztery ruble.

— Starczy na początek. Potem pomyślimy o korepetycjach. Ojciec pisał, że nieźle się uczysz. Nie boisz się egzaminu?

Zapytał jeszcze o zdrowie rodziców i zamilkł. Wiało od

niego oschłością. Wydawało się, że mówiąc zadaje sobie przymus.

W wiele lat później Antos zrozumiał, że ta oziębłość wyrobiła się w bracie wskutek ciężkich warunków życia. Teraz jednak poczuł się jego postawą zmrożony.

Szedł z opuszczoną głową, rozmyślając z przestachem o przyszłości i nie bardzo zważając na nieznane obrazy z życia wielkiego miasta.

Skęcili w ulicę Chmielną. Starszy Dobrowolski mieszkał w pobliżu banhofu w pokoju od podwórza, do którego nigdy nie zaglądało słońce. Drzwi otworzyła jejmość w zatłuszczonym, burym szlafroku, pachnąca zapachem kuchennym i jakby świecą łojową.

Była uprzedzona o przybyciu chłopca.

— Brat? — spytała z powątpiewaniem, obrzucając Antosia nieufnym spojrzaniem. — Zupełnie do pana niepodobny.

Potem dodała:

— Ale pan pamięta, że kawaler może nocować tylko kilka dni?

Starszy Dobrowolski minął ją bez słowa i wepchnął Antosia do pokoju.

Było tu aż szaro od dymu. Kilku studentów — jeden z nich współlokator Dobrowolskiego — zawzięcie dyskutowało. Padały nazwiska: Darwina, Spencera, Levittoux. Antos spostrzegł ze zdziwieniem jak brat, nie witając się, włączył się od razu do dyskusji. Jego spokojne, jasno-niebieskie oczy rozgorzały nagle żywym blaskiem.

NA WARSZAWSKIM BRUKU

Rozdział z niedokończonej powieści

Sebastian Arhens

Dyskutanci przyskakiwali do siebie, wymachiwali rękami — mogło by się wydawać, że się kłócą. Chłopiec, na którego nie zwracali uwagi, położył tłumok na podłodze. W pokoju nie było na czym usiąść poza łózkami. Jedyne krzesło, przystawione do ściany, miało tylko trzy nogi. Spełniało rolę popielniczki. Niedopałki papierosów leżały zresztą również na parapecie okiennym i na stole, rozgniecione o blat.

Antos był zmęczony. W czasie podróży nie spał prawie wcale. Nogi się pod nim uginały.

Spostrzegł to wreszcie jeden ze studentów — blade o nalanej, niezdrowej twarzy.

— Usiądź na łóżku, mały.

Antos skorzystał skwapliwie z zaproszenia. Przycupnął ostrożnie w nogach łóżka i zaraz głosy studentów zaczęły dochodzić do niego jak przez watę. Nie spostrzegł się nawet kiedy usnął.

Na dworze było już szaro gdy się obudził. W pokoju panowała cisza — studenci wyszli.

Poczuł głód. Podniósł się z łóżka, włożył buty (ktoś mu je zdjął w czasie snu). Na stole znalazł kartkę od brata:

“W szafie znajdziesz chleb i kiełbasę. Nie czekaj na mnie, przyjdź późno. Kładź się do tego samego łóżka, na którym spałeś — to moje łóżko”.

Zjadł dużo chleba, ale przez chłopską powściągliwość tylko dwa plasterki kiełbasy. Rozebrał się później i położył. Tym razem nie mógł jednak prędko zasnąć. Meble skrzypiały, słychać było szmery, chrobotanie; z pobliskiego dworca dochodziły przeciągłe gwizdy manewrujących parowozów.

Nazajutrz obudził się pod wrażeniem ostrego niepokoju. Egzamin! Nabrał nagle pewności, że nie zda. Przymrużywszy powieki starał się przypomnieć jedno z twierdzeń matematycznych i nie mógł. Zimny pot oblał mu czoło.

Brat spał jeszcze. Czuł koło siebie jego szczupłe, gorące ciało.

— Czemu się tak wierzisz? — zapytał, budząc się.

— Czas już chyba.



Warszawa. Na osiedlu Praga II.

Brat usiadł na łożku, spojrział na chłopca, zrozumiał jego niecierpliwość.

— No, to dobrze. Pójdziemy.

Do piątego gimnazjum nie było daleko. Mieściło się w starym gmachu. Po ciemnych, ponurych korytarzach kręcili się o tej rannej godzinie pedle; przeszedł wolno i znikł w pokoju nauczycielskim niemłody profesor o surowym, brodatym obliczu.

Stary woźny, z medalem na piersi, zapewne wysłużony mikołajowski żołnierz, wskazał Antosiovi drzwi klasy, w której miał zdawać egzamin. Drzwi były w górnej części oszklone — widziało się tablicę i portret cesarza Aleksandra II.

Starszy Dobrowolski popatrzył też przez szybę na pustą salę. Może przypomniały mu się czasy kiedy sam zdawał egzamin wstępny do szkoły.

— Ja już chyba pójdę, — powiedział. — Nie boisz się sam zostać?

Antoś skinął po bohatersku głową.

— No, to trzymaj się! — mruknął starszy Dobrowolski, zamykając w tym krótkim zdaniu braterskie błogosławieństwo i życzenie pomyślnego przebrnięcia przez egzamin.

Kiedy wyszedł niepokój Antosia pogłębił się. Miał wrażenie, że gwałtowny wiatr wywiał mu nagle z głowy wszystko czego się nauczył. Musiało to znaleźć wyraz w jego twarzy, gdyż przypatrujący mu się od dłuższego czasu blondynek w wieku lat trzynastu, zapytał:

— Masz pietra?

— A ty nie?

— Ani trochę. Wielka mi rzecz! Zdam to dobrze, a nie zdam jeszcze lepiej. Posiedzę wtedy jeszcze roczek na wsi, weźmie się korepetytora i niech się męczy ze mną.

Zażmiał się.

— Mnie to niełatwo zagnać do książki. Mama się na mnie gniewa, ale tata nawet kontent. "Niepotrzebny mi, mówi, pisarek tylko gospodarz". Bo my mamy kilka wsi i wdług taty jak nie będę szalał z aktorkami i nie zadawał się z szulerami to do śmierci będę miał co jeść.

Antoś westchnął.

— Ja jak nie zdam nie mam do czego wracać.

Pomilczeli chwilę ale nowy kolega, który, jak się zdaje, nie lubił trzymać języka za zębami, żeby mu nie zardzewiał, odezwał się przyciszonym głosem, konfidencjonalnie:

— Dał twój stary w łapę belfrom?

Antoś nie zrozumiał o co chodzi.

— Jak to w łapę?

— Ach, ty tumanie! To nie wiesz? W szkole bez kubana ani rusz. Belfry łase na grosz jak niedźwiedź na miód. Jak myślisz, ilu nas tu amatorów nauki?

W korytarzu cisnęli się chłopaczekowie więksi i mniejsi, wszyscy z minami wystraszonymi; niejedyn z twarzą spoconą i uszami czerwonymi jakby go kto za nie wytargał. Od gromady tej, stale się jeszcze zwiększającej, szło szemranie jak od rojących się pszczoł. Kiedy owo szemranie przemieniało się w wrzawę stary woźny stukał łaską w podłogę, wołając:

— Ciszej!

— Będzie chyba ze stu, albo więcej, a miejsc tylko czterdzieści. No, to jasne, że kto posmaruje — pojedzie. Rozumiesz? A jak nie to się czepiąją. Tak pytają, że choćbyś wszyscyutko umiał jak pacierz — pary z gęby nie puścisz. Raz — dwa obleją. Jeden znajomy chłopak zdawał w zeszytm roku to jak nauczyciele obstarpiłi go...

Chłopiec przerwał, nie kończąc opowiadki, ponieważ w tejsze chwili wszczął się rumor, zdający rozstąpiłi się, przepuszczając kilku nauczycieli. Szli poważnie, jak by o coś źli, w opiętych mundurach, sztywnych kołnierzykach uciskających podbródki, samym swym wyglądem siejąc przerażenie. Gdy drzwi klasy zamknęły się za nimi na korytarzu zapanowało grobowe milczenie. Wkrótce potem rozległ się dzwonek — na woźnego. Ten bawił w klasie niedługo. Wyszedł, trzymając w rękę arkusz papieru. Wszystkie oczy wpatrzyły się w niego.

Woźny pogładził faworyty, pokręcił wąsiska i spoglądając groźnie na malców, przeczytał:

— Andruszkiewicz Wiktor Pawłowicz, Balinskij Kazimir Januarewicz, Grabski Władisław... w klas!

Z gromady wyszło trzech chłopców — jeden wysoki, bladey, przeżegnał się kilka razy; dwaj inni, mniejsi, pyzaci, rozglądali się bezradnie dokoła, ręce się im trzęsły. Na pierwszy ogień!

Drzwi otworzyły się i połknęły ich. W gromadzie wszczął się zgiełk, wszyscy tłoczyli się do drzwi, żeby spojrzeć przez szybę. Antosiovi po pewnym czasie też się udało docisnąć. Rzucił okiem. Wysoki chłopaczek czekał na coś przed tablicą, drugi — pyzaty — pisał w zeszytcie, trzeci czytał. Miny malców nie ośmielały go.

— Popatrz jak oni wyglądają — powiedział blondynek. — Już ich spalili!

Zanosiło się na to. Drzwi rozwarły się, wypuściły zdających.

— No, i co, i co? Jak tam było? Jak pytają? Zдалиście? — sypnęło się ze wszystkich stron.

Jeden z pyzaty machnął tylko ręką.

Oblałem.

Kolega jego nic nie mówił, łyzy toczyły mu się po twarzy. Trzeci chłopiec, wysoki także nie odpowiadał na pytania, zęgnął się tylko raz po raz.

— On zdał — powiedział pyzaty. — Śpiewał jak z nut.

Patrzano na wysokiego z zawiścią. Ten miał już najgorsze za sobą.

Tymczasem woźny wyczytywał z listy dalsze ofiary.

Przyszła wreszcie kolej na Antosia. Sam nie wiedział kiedy i jak znalazł się w klasie. Owionął go szczególny zapach źle wietrzonej sali: kurzu, zleżalego papieru, gąbki i czegoś czego nie da się określić — tak pachnie tylko szkoła.

— No, i co, młodzieńcze, masz tremę? — spytał, uśmiechając się, tęgi brodaty nauczyciel.

Antoś poznał w nim profesora, którego spotkał wchodząc do szkoły. Wydał mu się teraz znacznie sympatyczniejszy, dobronudszny. Potem dopiero dowiedział się, że był to postach uczniów, inspektor Sokołów.

Egzamin rozpoczął się, padło pierwsze pytanie.

Nagle przestrach minął. Antoś poczuł, jak powraca pewność siebie. Wiadomości, o których myślał, że zagubiły się w zakamarkach mózgu, odnajdywały się łatwo jak by przed chwilą się ich wyuczył.

— No, dość! — powiedział inspektor Sokołów.

Nauczyciele patrzyli na Antosia z życzliwością, a on był jeszcze jak napięty łuk. Reakcja nastąpiła dopiero po wyjściu z klasy. Chwyliło go osłabienie, zachwiał się prawie na nogach.

Sebastian Arhens.

DIAMENTY I ZŁOTO W BRAZYLII

PAWEŁ NIKODEM i PINIOR

I.

Brazylia po jej odkryciu przez Portugalczyków zaludniła się wzdłuż wybrzeża między górami Serra do Mar, a morzem.

Osadnicy trudnili się rolnictwem. Sadzili głównie trzcinę cukrową i tytoń. Wnętrze kraju nie pociągało przybyszów z Europy. Mieszkało ich tam niewiele. Do nielicznych wyjątków należało skupisko białych osadników w São Paulo. Byli to najwięksi awanturnicy i zdobywcy ziemi. Indian i złota jakich wydała Brazylia.

Nazywali się Bandeirantes od białej chorągiewki używanej w pochodach. Służyła im za przewodnika. Wystawiona na wiatr wskazywała kierunek marszu, gdy kończyła się droga, którą szli.

Nie mogąc zbywać produktów rolnych z braku dostępu do morza zajmowali się zdobywaniem naturalnych bogactw kraju. Chwytały i sprzedawały Indian, a potem, gdy odkryto złoto w Iguape, Cananella i Parana-guá, przerwali się na poszukiwanie złotego metalu.

Wędrowali setki mil przez stopy, góry i puszcze w towarzystwie Indian i Mameluków (mieszkańców), szukając złota i szmaragdów, o których opowiadali im krajowcy.

W r. 1690 odkryli bogate złoża napływowego złota w Minas Gerais, a w r. 1730 diamentów. Pokłady złota w Cuiabá wyczerpały dynamikę bandeirantów. Przewędrowali i przeszukali przedtem cały prawie obszar dzisiejszych stanów Goiás i Mato Grosso. Teraz nie poszli już dalej. Zagarnęli tyle złotonośnej ziemi, że poczuli dosyt.

Nieodrodnymi potomkami bandeirantów są współcześni nam *garimpeiros*. Warto o nich powiedzieć.

GARIMPO I GARIMPEIRO

Wyraz *garimpo* oznacza płuczkę, w której wydobywa się diamenty, złoto lub półszlachetne kamienie jak: akwamaryny, agaty, ametysty, beryl, i kryształy górskie.

Człowieka pracującego w *garimpo* zowią *garimpeiro* czyli płuczkarzem. Nazwą tą obejmuje się również zbieraczy kauczuku, aczkolwiek ta dziedzina ma swoje bardziej fachowe określenia jak: *seringal* (las złożony z drzew gumowych) i *seringeiro* czyli zbieracz kauczuku.

ROZMIESZCZENIE PŁUCZEK

W Brazylii spotyka się diamenty w stacjach: Bahia, Minas Gerais, Mato Grosso i Paraná. Na płaskowyżu środkowym występują głównie w dorzeczu: Paranaíba, Tocantins, Araguaia i Paraguaí.

Szczególnie bogate pokłady diamentów znaleziono w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat w dorzeczu Araguaia i jej dopływów Rio das Garças (rzeka Czapli) i Rio das Mortes (rzeka Śmierci).

Niedawno zaczęto poszukiwania w dolnym biegu tej rzeki i w Marabá na wyspie rzeki Tocantins, położonej już w granicach stanu Pará. W obu tych miejscach poszukiwania uwieńczone zostały dobrymi wynikami.

W Paranie do diamentonośnych należą: dorzecze Tibagi, częściowo zaś Iguacu w okolicy bystrzyn Caiacanga i Cantú (prawy dopływ Piquiri).

ZWIR DIAMENTONOŚNY "CASALHO"

Diamenty wydobywane w garimpach są pochodzenia napływowego. Oznacza to, że drogocenny kamień przyniesiony został przez

fale z miejsc wyżej położonych. Znajdujemy go w pokładach żwiru uformowanych w odległych epokach geologicznych, i przykrytych następnie innymi formacjami. Taki pokład żwiru diamentonośnego nazywa się *monchão* czyli odkrywka na suchym miejscu.

Garimpeiro poszukuje żwiru badając skały na zboczach gór lub zagłębienia terenu i zapuszczając w ziemię stalową sondę.

Niekiedy żwir diamentowy występuje pod postacią zlepieńca zwanego *canga*. Zlepieniec jest zazwyczaj żelazisty, czasem tak twardy, że trzeba go rozbijać oskardem.

Płuczki zakłada się najczęściej w rzece. Woda bieżąca w ciągu tysięcy lat zebrała żwir z pagórków i ułożyła w korytach strumieni i rzek. Diamentów poszukuje się w miejscach, w których rzeka ma łagodny prąd, a więc tam gdzie kończą się bystrzyny, pod wodospadami i na zakrętach łożyska.

Ze szczególnym upodobaniem zwykli myszkować *garimpeiro* w t.zw. *calderonach* (*caldeirões*) czyli kotłach, które woda wydrążyła w skale przy pomocy twardych, trących kamieni.

Spotyka się kalderony różnej wielkości od misy do olbrzymiego kotła; zależy to od większej lub mniejszej twardości skały i siły wody.

Ponadto urwisty brzeg rzeki obnaża nieraz nadwodny pokład żwiru, do którego łatwiej się można dostać, aniżeli grzebiąc na pagórku.

NARZĘDZIA

W pracy swej *garimpeiro* stosuje kilof (*picareta*), łopatę, młot, dłuto i drąg żelazny do podważania skał.

Uzupełniają wyposażenie miska do płukania czyli t.zw. *bateia* i sita. Sita używa się trzy nakładane jedno na drugie od oczek dużych poprzez średnie do małych.

Dobre były sita produkcji naszego rodaka Jana Furmaniaka z Kurytyby, zmarłego w r. 1945. Był on rodem z Biłgoraju. Sztukę siciarstwa przywiózł ze sobą i warsztat jego zaopatrywał w sita tak kolonie dla potrzeb domowych, jak i *garimpeirów*.

Do pracy w miejscach głębokich w rzece potrzebne są przybory do nurkowania: maszyna do pompowania powietrza i ubranie

nurka czyli skafander z hełmem, otwieranymi ciężarkami, ułatwiającymi zanurzenie się i płóciennym workiem do nabierania żwiru pod wodą.

ORGANIZACJA PRACY

Garimperkę rzadko prowadzi się w pojedynkę, chyba przy wstępnych badaniach. Poszukiwacze łączą się zazwyczaj w kilkoosobowy zespół, gdyż ułatwia to pracę.

Czasem z grupy *garimpeirów* powstaje komuna, w której każdy członek ma swój zakres pracy i każdy otrzymuje różny udział w zyskach, a zatem i kucharz, choćby tylko gotował, a wcale nie płukał. Większość *garimpeirów* pracuje jednak u przedsiębiorców, jako najemnicy. Przedsiębiorcami są zazwyczaj dawni *garimpeiros*, którym się poszczęściło.

Garimpeiro — najemnik pracuje albo na dniówkę albo jako t.zw. *meia-praça* tj. na część zysku. Tak w jednym, jak i w drugim przypadku wyżywienie otrzymuje w kuchni przedsiębiorcy. W r. 1942 płaca dzienna *garimpeira* wynosiła dziesięć milów.

Garimpeiro pracujący jako *meia-praça* otrzymuje połowę uzyskanych diamentów.

W praktyce przedsiębiorcy wynajmują do eksploatacji nowych płuczek *meia-praça*, a do prowadzenia robót bardziej zyskowych — dniówkarzy. Dniówkarz ma mniejsze prawa i może być każdej chwili zwolniony. *Meia-praça* natomiast jest jak by współwłaścicielem płuczki. Gdy płuczka jest licha najlepiej wychodzi dniówkarz, mający ustalony zarobek w gotówce.

Gorzej wychodzi *meia-praça* i właściciel płuczki, gdy jeden dał pracę, a drugi wyżywienie i nie zarobili niczego.

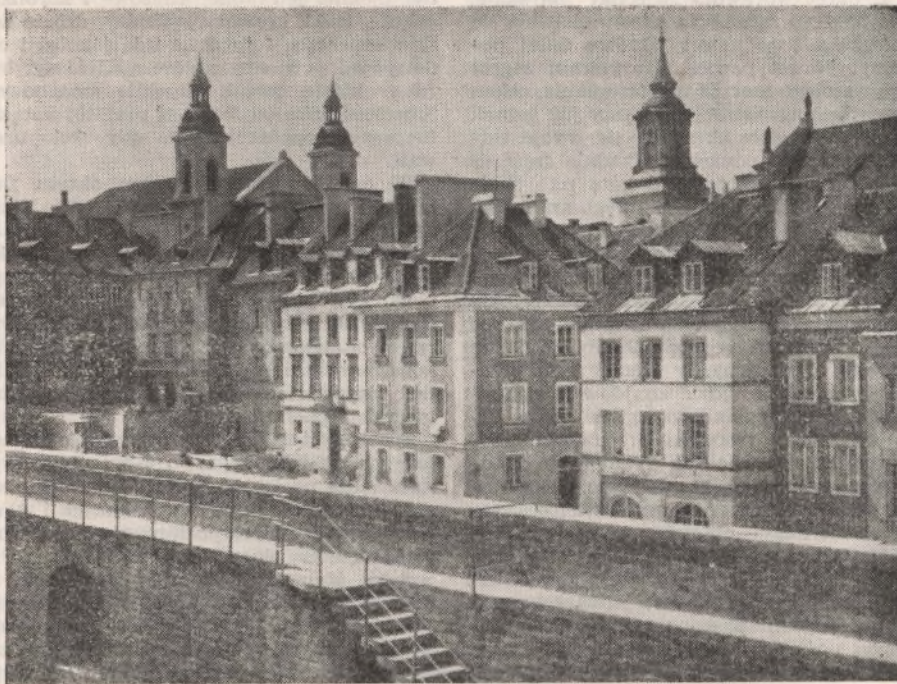
SATELICI DIAMENTÓW

Żwir żwirowi nie równy. Najpierw trzeba wyszukać odpowiednie miejsce. Przeprowadza się w tym celu wstępne badania, czyli rozpoznawanie formacji geologicznej. Jako wskazówka służą kamienie, które zwykły towarzyszyć diamentom. Są to charakterystyczne kolorowe kamyki, oszlifowane przez wodę na okrągło zwane przez *garimpeirów* *formação* albo *informação*.

Ze względu na to, iż towarzyszą diamentom uczeni nazwali je satelitami, a *garimpeiros* niewolnikami diamentów (*cativos do diamante*). Są to: fiżon, lak, jajo gołębie, kropła wody (*pingo de água*), *pedra de campina* i inne. Ważną wskazówką jest również



Warszawa. Aieje Jerolimskie.



Warszawa. - Fragment Starego Miasta.

czarny osad na dnie *batei*, złożony z rutylu, czyli tlenku tytanu.

PRZESIEWANIE I PŁUKANIE

Przesiewanie i płukanie może się odbywać tylko w wodzie.

Ze żwiru przyniesionego z odkrywki sypie się na sita łopatę lub dwie. Sita muszą być ustawione jedno na drugim. Na wierzchu kładzie się sito o wielkich okach, pod nim o mniejszych, a na samym spodzie o najmniejszych.

Pod sitami umieszcza się miskę do płukania, czyli *bateję*.

Następnie, przesiewa się górnym sitem ruchem takim jak przy przesiewaniu ziarna w stodole. Grube kamienie odrzuca się na bok. Po parokrotnym usunięciu większych kamieni, gdy sito przestało przesiewać podnosi się je do góry patrząc od spodu.

Diamant jest ciężki i w szczęśliwym wypadku, gdyby był większy od oczek, zobaczy się go na spodzie. Potem zręcznym ruchem trzeba sito przewrócić i wysypać zawartość na równo ubity piasek, aby wyszła z sita jak babka.

Później raz jeszcze patrzy się uważnie, czy na wierzchu babki nie tkwi przypadkiem błyszcząca, pożądana rodzynka.

Tę samą czynność powtarza się z drugim i trzecim sitem.

Sita powinny być lekko zagłębione, aby ciężki materiał zbierał się w środku i nie rozpraszał się po całym sicie.

Jeżeli pierwsze próby wykażą obecność kolorowych satelitów diamentu istnieje nadzieja znalezienia drogocennych kamieni. W razie przeciwnym należy się przenieść na inne miejsce.

MISKA DO PŁUKANIA — BATEJA

Kiedy piasek został już wysiany przez trzy sita i spoczywa na *batei* zatrzymamy się na chwilę, aby przyjrzeć się misce do płukania, stanowiącej najważniejsze narzędzie w ręku *garimpeira*.

Bateja to stożkowata miska wydłubana z lekkiego i niepekającego drzewa o średnicy około 60 centymetrów. Dobra jest z cedru lub *tambú*. Misa musi być wygładzona i doskonale okrągła. Ściany jej powinny opadać płasko ku środkowi.

Mając przesiany piasek na *batei garim-*

peiro staje po kolana w wodzie i rozpoczyna płukanie, poruszając misą tak, aby z jednej strony napływała woda, a z drugiej uchodziła z piaskiem. W środku misy tworzy się wir wciągający cięższy materiał do spodu.

Za każdym ruchem ubywa piasku w misie, pośrodku zaś zaczyna się czernić rutyl (tlenek tytanu). W rutylu być może zabłyśnie drobne ziarnko diamentu lub zaświecą iskiereczki złota.

Garimpeiro nie domywa miski za każdym razem do końca. Resztki każdej *batei* zlewa do jakiegoś naczynia, pozostawiając ostateczne wymycie miski do wieczora.

Dopiero po wypłukaniu sporej ilości misek zabiera się do ostrożnego przepłukania zebranych resztek. Wtedy dopiero okaże się ile w tym dniu zarobił.

ZŁOTO

Gdzie są diamenty tam zwykle bywa i złoto. Złoto towarzyszące diamentom bywa jednak drobne i pojawia się w małej ilości.

Ludzie, trudniący się płukaniem diamentów, zwracają mało uwagi na złoto. Inte-

resują się nim tylko wówczas, gdy na sicie lub w misce pojawi się większe ziarnko złota zwane *pepita*.

Złoto występuje w większej obfitości tam, gdzie diamentów wcale nie ma, np. w Paranie i w Santa Catarina na pomorzu i w dorzeczu Assungui i Ribeira. *Garimpeiro* może jednak eksploatować tylko złoto napływowe.

Złoto rodzime ze skał są w stanie wydobywać jedynie przedsiębiorstwa mające do rozporządzenia odpowiednie wyposażenie górnicze i pracownie chemiczne, jak towarzystwo angielskie wydobywające złoto w Morro Velho w Minas Gerais.

W płuczkach trafiają się czasem kwarcy złotonosne lub samородki. Gdy *garimpeiro* natrafi na taki kwarc (szklisty, mleczny kamień, często o rdzawym zabarwieniu) rozpala go w ogniu, a następnie oblewa wodą, aby blok rozpadł się na kawałki i wydał wartość.

(C.d. w następnym numerze)

W kilku wierszach

Publiczność zgromadzona tłumnie na jubileuszowym koncercie Mieczysława Foga, w 30-lecie jego działalności artystycznej nie spodziewała się oczywiście, że dla Jubilata zakończenie tego przyjemnego dnia będzie o wiele mniej przyjemne. Otóż w trzy godziny po zakończeniu koncertu, Mieczysław Fog poczuł silne bóle brzucha. Przewieziono go z kulturalistów Sali Kongresowej do domu i wezwano lekarza. W cztery godziny później Mieczysław Fog był już po... operacji przepukliny. Fog czuje się już dobrze. Gdy wyzdrowieje podziękuję niewątpliwie swym wielbicielom za serdeczne jubileuszowe życzenia i owacje.

★

Zubrów czystej krwi w Europie było 1 stycznia 1959 roku 360 sztuk, w tym 259 sztuk tzw. rasy białowiesko - kaukaskiej. W Polsce żyło wówczas 117 sztuk - (obecnie około 170), - w ZSRR - 93 sztuki (obecnie 123, rasy biało-kaukaskiej), w NRF — 36, w Szwecji — 35 i w Holandii 16 sztuk.

★

Projektowana olimpiada w Tokio sprawiła że na kursy języków zgłasza się obecnie w kraju wielu chętnych, którzy pragną uczyć się po japońsku. Wielkim powodzeniem cieszy się także język arabski, ale, jak zwykle, największa frekwencja jest na kursie angielskiego, który stale i niezmiennie bije rekordy (80 procent).



Warszawa. Fragment nowego osiedla między Arsenalem, a Pałacem Radziwiłłowskim.

"Gazeta Polska w Brazylii w Nr. 4 z dn. 29 lipca r. 1893 donosi:

Znowu musimy zanotować dwa morskie nieszczęścia, które się zdarzyły w ostatnich dniach nad brzegami morskimi w sąsiednich stanach Parany. Parowiec kompanii brazylijskiej "Porto Alegre" uderzył z całą siłą o podwodną skałę w porcie S. Francisco, znaną pod nazwą "Badejo", gdzie wkrótce zatonął. Niemieckie wojenne statki "Alexandrine" i "Ancona", stojące w pobliżu miejsca nieszczęścia, wysłały natychmiast swoje łódki kapitanowi na pomoc. Miejsce "Badejo" niegdyś było oznaczone beczką morską, lecz ta przez niedbałość urzędników portowych zaginęła.

Drugi parowiec tej samej kompanii "Rio Negro", który z Paranaguá wyjechał do Rio de Janeiro, w pobliżu portu Santos zatoczył się na brzeg morski. Znajdowało się na nim dużo pasażerów z naszego Stanu a pomiędzy nimi Polacy: Józef Kowicki, Józef Milarski, Józef Janocki, Roman Marczyński z żoną i nasz nieborak p. Karol Szulc z synem Cezarem. Według telegramu pasażerowie bagaże ocalili, parowiec z całym ładunkiem zatonął.

Daj Boże, żeby nasi rodacy prócz strachu żadnej innej szkody nie ponieśli!

Dalszą relację z tego wydarzenia "Gazeta Polska w Brazylii" podaje w nr. 6 z dn. 12 sierpnia 1893 r.:

W numerze 4-tym gazety naszej podaliśmy wiadomość o uderzeniu się o skałę okrętu "Rio Negro", na którym jechało do Europy pięć rodziny polskich a między tymi znany tutejszym Polakom p. Karol Szulc wraz z synem Cezarem. Szczęściem że pasażerowie ocalili a o całym nieszczęściu podajemy wiadomość od naocznego świadka p. Karola Szulca dokładnie opisaną:

pewniało wielu, aby swe żony i dzieci uspokoić, iż okręt wprawdzie wjechał na skałę, lecz że nagłego zatonięcia okrętu obawiać się nie potrzeba i że nawet wkrótce dalej pojedziemy. Nawet pewien Brazylianie zagrał jeszcze wesołego marsza na fortepianie, celem uspokojenia pici pięknej. Wszyscy już jednak spać nie poszli, ale ubrawszy się, swoje tłumoczki pakowali, ponieważ przednia część okrętu na kilka metrów pod górę na skałę spoczywała. O zluźnieniu takowego ani mowy być nie mogło, przy tym okazało się, iż w okęcie został szmat żelaznego spodu na 3 metry w kwadrat zdruzgotany. Okręt ten był już bardzo starym i owe kawały żelaza były tak rdzą skruszone jak spróchniałe drzewo.

Każdy okręt ma u spodu 3 lub 4 żelazne przedziały t.j. ściany, a więc w tym przedziale na przodzie, gdzie znajdowali się pasażerowie międzypokładowi i gdzie nasze kufrы i skrzynie z rzeczami przechowane zostały, tam od razu wielkim wylamaniem otworem woda zalała. Pasażerowie puciekali na wyspę a nasze kufrы i skrzynie z lepszą bielizną, garderobą i pościelą pozostały aż do południa w niedzielę 16-go bm., w wodzie morskiej mokły. Nasz kapitan okrętu Brazylianie chłop jak "rękawica", lichego wzrostu i bez najmniejszej energii, nie wiedział wcale co począć; tylko w tym okazał swą upartą mądrość, iż pomimo prób i płaczu kobiet, że im się całe mienie w morskiej wodzie zniszczy, nie pozwolił pasażerom ich rzeczy z wody wyciągać. Mężowie wchodzili na spód okrętu po pachy w wodę, aby każdy co swego ratować, lecz pan kapitan zabronił i kazał wyjść. Majtkom jakoteż pasażerom III klasy kazał wyrzucać ze średniego przedziału olbrzymi ładunek w morze. Od godziny 3-ej z rana w niedzielę przez cały dzień

na było ogólne suszenie garderoby i bielizny; piękne, jedwabne, atlasowe i koronkowe suknie, fraki, krawaty, cylindry, drogie damskie kapelusze, fotografie itd., jakoteż i chudobę biednych emigrantów z III klasy; biedni ci ludzie zostali zupełnie zmarnowani! Szczęście tylko od Boga, iż przy tej katastrofie wszyscy prócz jednego swe życie uratowali.

W czasie rozbicia naszego okrętu zmarł może z przerażenia w swej kajucie I klasy pewien kupiec z Kurytyby nazwiskiem José Gomes Villa Nova, który już bardzo chory z Kurytyby w towarzystwie swego przyjaciela wyjechał celem ratowania zdrowia do Rio de Janeiro, aby się udać do pierwszorzędnym lekarzy. Pozostawił on żonę i kilkoro małoletnich dzieci; nie doczekał się biedak wyzdrowienia, lecz został w bałwanach morskich pochowanym!

Dla wszystkich pasażerów jest to zagadką, jak można było na 5 do 6-ciu pięter wysoko a może na 3.000 metrów w obwodzie sterzącą spośród morza tak okazałą i z dala widną skałę nawet pochmurną nocą wprost statek na nią skierować i na ową skałę najechać! Kapitan naówczas spał i zdał komendę sternikowi — a ten, jak dwóch pasażerów zeznało, którzy w nocy na pokładzie się znajdowali, iż sternik zawsze tylko z lewej strony spoza swojego koła się oglądał, a z prawej w której owa skała sterczała to ani razu nie spojrział; owi pasażerowie widzieli wprawdzie w oddaleniu jakiś czarny szmat na morzu, lecz uważali za deszczową chmurę — aż tu od razu okręt zatrzęsł się i zatrzęszczał. Okazało się, iż sternik zjechał o jakie 15 mil morskich z przepisanej drogi, gdyż tamtędy nigdy żaden statek nie przejeżdża. Utrzymują nawet niektórzy, iż

ZE STARYCH SZPARGAŁÓW

KATASTROFA STATKU "RIO NEGRO"

Rio de Janeiro, 23-go lipca 1893 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam Panu szczegółowy opis mej zbyt niewesołej podróży morskiej:

W sobotę dnia 15-go bm. wyjechalśmy po południu o godzinie 4-ej przy nader pięknej pogodzie z Paranaguá okrętem śrubowym, parowcem "Rio Negro", zapłaciwszy 100\$000 za siebie i za syna pierwszą kajutę aż do Rio de Janeiro. Na pokładzie było gwarno i wesoło, wszyscy byli w jak najlepszym humorze; w I klasie, która była literalnie nabita, mieściło się około 50 osób i to przeważnie z arystokracji brazylijskiej, prawie więcej dam i dzieci aniżeli mężczyzn, pomiędzy którymi znajdował się także i mój dobry znajomy sędziwy p. Fonseca z Kurytyby, dawniejszy pryncypał mego syna, wraz ze swą młodą żonką, dwiema dorosłymi córkami i 10-cio letnim synkiem. Pasażerów zaś w III klasie było przeszło 100 Włochów, Portugalczyków, Niemców, Turków i 5 rodziny polskich, które zamierzyły do kraju powrócić; między nimi poznałem dwóch mych dawnych abonentów, dobrych rzemieślników stolarzy pp. Roman Marczyński z gubernii Kaliskiej wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci oraz Antoni Czerwiński wraz z żoną i jednym dzieckiem.

Okręt nasz posuwał się szparko, bez kołysania, i z jednej strony widne były ciągle niebotyczne skały; noc była ciemna i pochmurna. Udaliśmy się wszyscy na spoczynek do swych kajut, kiedy nagle w nocy o w pół do 3-ciej zostaliśmy wszyscy wskutek gwałtownego trzasku i łomotu z naszego smacznego snu w ogólnym popłochu i przerażeniu zbudzeni; każdy jak był z łóżka się zerwał i wyskakiwał patrzeć, co zaszło. U-

o noc aż do poniedziałku południa, wyrzucano za pomocą windy i 40 ludzi 1800 worków kukurydzy, czarnego fiżonu i faryny, oprócz tego rozmaite skrzynie z różnymi towarami, a to dlatego, ażeby się okręt nie przełamał, gdyż druga połowa okrętu spoczywała nad przepaścistą głębią. To przewidywane przełamanie i zupełne zatonięcie okrętu nastąpiło rzeczywiście dopiero w wtorek po południu dn. 18 bm. i to już po naszym ocaleniu przez inny parowiec.

Z moich jedenastu paczek, które ze sobą wiozłem, miałem 8 mniejszych przy sobie w kajucie; te ocalały i pozostały w suchości. Reszta: jeden duży kufer z najlepszą garderobą, bielizną, drogimi książkami i ważnymi pamiątkami oraz fotografiami, nadto kosz z pościelą jak również skrzynia z 300 elementarzami, to wszystko moczyło się przez 10 godzin w morskiej wodzie. Szczęśliwym trafem skrzynka z elementarzami spoczywała wysoko na innych skrzyniach i przez to nie ucierpiała od zamoczenia — lecz książki, które w kufrze były, to wszystko się rozleciało. Teraz mieszkam w Rio de Janeiro i wszystkie papiery suszę na dachu. Mam przez ten wypadek najmniej 400\$000 straty.

Dwie noce i półtora dnia pasażerowie wszyscy przepędzili na skałę; oprócz mnie, mego syna, pana Pepini teścia p. Osternaka z Kurytyby, kapitana statku i majtków, którzyśmy pozostali na pokładzie, wszyscy inni obzywali na szczycie skały, porobiwszy ogniska i zatknąwszy białą chorągiew. Pan Pepini, siwy starzec, wziął z sobą 8 skrzyń z towarami wartości 600\$000; dwie uratował a 6 skrzyń zginęło, prawdopodobnie zostały w morze wrzucone, asekurowane nie były. Na pokładzie jakoteż i na skałę widzieć moż-

to z umysłu uczyniono, ażeby to stare, zużyte pudło raz rozbić, ponieważ asekuracja wypłaci i mogą sobie nowy statek za to sprawić.

Zaraz po owej katastrofie kapitan wysłał łódź z 4-ma majtkami, kompasem i latarnią po ratunek do Santos. Było to na wpół drogi, i to było naszym szczęściem, iż nie było burzy, bo byłby nasz okręt nie wytrzymał tak długo i od razu zatonął. Wreszcie po długim i niecierpliwym wyczekiwaniu przybył na ratunek wysłany z Santos parowiec pakunkowy "Comandante Vilm" w poniedziałek przed południem dn. 17 bm., lecz stanął na otwartym morzu, obawiając się do naszego statku zbliżyć.

A zatem z 8-ma ludziami po 20 osób o jakie 1000 metrów odległości, pasażerów osobno a przemoczone pakunki ich na osobnych łodziach, aż do godziny 4-ej po południu przewożono. W owych dwóch krytycznych dniach trzeba też było i pościć, ponieważ na rozbitym okręcie już nie gotowano, tylko żyć chlebem i serem i nieco owoców raz na dzień nam dano, a w nocach wiele zimna przejmującego wycierpieliśmy, nocując na skałe pod gołym niebem. Także i to szczęście, że deszcz nie lunął, choć pochmurno było. Lecz za to trzecią noc bardzo deszcz padał i z przejmującym, zimnym wiatrem. Było to z poniedziałku na wtorek, gdyśmy się na statku "Rio de Janeiro" znajdowali i do Santos płynęli, statek ten bowiem nie ma wcale urządzenia do przewożenia pasażerów, jedynie tylko do brania ładunków; były wprawdzie 4 kajuty, każda na 6 osób urządzona, te zajęły damy z dziećmi i pomieścić się nie mogły, więc my mężczyźni zmuszeni byliśmy zajmować miejsce na pokładzie t.j. na dachu o-

wych kajut, a było nas około 30-tu. Rozciągnięto wprawdzie nad naszymi głowami mały kawałek płótna, lecz z boków żadnej osłony nie było a zimny, mroźny wicher z boków dał wraz z ulewnym deszczem — przemożliwszy wszyscy i nasze bagaże. I tak całą noc z poniedziałku na wtorek przetrwać było trzeba, gdyż okręt nasz wieczorem o godz. 8-iej zbliżył się wprawdzie do Santos, lecz stanąć musiał na kotwicy na otwartym morzu, nie wolno bowiem wieczorem do żadnego portu wjeżdżać.

Noc ta była dla nas sto razy gorszą, aniżeli te dwie poprzednie, przepędzone na skale lub na rozbitym okręcie! Naza jutrz we wtorek rano o godzinie 7-iej wjechaliśmy do portu, dano nam na owym statku mały posiłek t.j. śniadanie i zaczęto rozmaite towary wyładowywać. Ponieważ nic nie mówiono, co zrobią z pasażerami, którzy aż do Rio de Janeiro pasażerze opłacili, wysłaliśmy zbiorowy telegram do głównej agentury T-wa okrętowego w Rio, nadto drugi telegram do gazety "O Paiz" a jeszcze trzeci do "Jornal do Comercio". Po południu przyszła odpowiedź z agentury i zawezwano nas do biura okrętowego w Santos, gdzie zwrócono nam połowę zapłaconej pasaży: z I klasy po 30 milrejsów na osobę a z III klasy po 12 milrejsów.

W Santos stał właśnie na kotwicy nie-

miecki parowiec, elegancki, nowy "Cintra" z Hamburga, który naza jutrz miał do Rio wyjechać. Kupiwszy inne bilety, wsiedliśmy zraz na ten okręt. "Cintra" jest to nader okazały, wspaniale urządzone parowiec, z najnowszymi ulepszeniami. Tak dla pasażerów I klasy jakoteż i dla III klasy jest wszelka wygoda i znakomity stół, czego na brazylijskich okrętach ani czwartej części się nie znajdzie!

Nareszcie w czwartek rano dn. 20 bm. wyładowaliśmy szczęśliwie w Rio de Janeiro.

Już 5 razy przejechałem cały ocean, lecz nigdy tyle trudu, niewygód i przeziębienia co tą razą nie wycierpiałem. Odbiło się to nader szkodliwie na moim nadwątlonym zdrowiu i teraz leczyć się tu muszę.

Zasylając miłe pozdrowienia, pozostaje życzliwy

KAROL SZULC

* * *

UWAGA: Karol Szulc był założycielem "Gazety Polskiej w Brazylii" w r. 1892. W następnym roku odstąpił wydawnictwo sformowanej w tym celu spółce z Sebastianem Edmundem Wosiem-Saporskim na czele, a sam udał się w podróż handlową do Europy i w tej to właśnie podróży spotkała go powyższa przygoda.

CO OPOWIADAŁ LAURINDO VELHO czyli Parana przed stu laty

P I N I O R

V.

Ale ja tu gadu-gadu, a nie opowiedziałem jeszcze, jak jeździłem w głąb kraju do Guarapuava i Palmas.

W roku 1873 Dom Pedro II zbudował drogę kołową do Antoniny, zwaną Graciosa. Wszelkie towary zaczęto wówczas przewozić z Antoniny do Kurytyby wozami. Nasze muły juczne, zabierające po 100 kg herwy albo soli nie mogły wytrzymać konkurencji z sześciokonnymi wozami, które brały po 1.600 kg. ładunku. Musieliśmy wycofać się w lasy, gdzie nie było dróg kołowych.

Przez kilka lat woziłem herwę z okolic Campo Largo do Kurytyby dopóki nie została zbudowana szosa zwana Mato Grosso z Kurytyby do Serrinha. Musieliśmy wówczas szukać szczęścia daleko w interiorze dokąd nie mogły dotrzeć wozy.

Wtedy to właśnie (było to w roku 1877) wyruszyłem po raz pierwszy z towarami dla hodowców bydła i kupców w Guarapuava i Palmas.

Do Guarapuava jechało się przez Ponta Grossa, Cupim i Patos Velhos. Ponta Grossa była w owym czasie małą osadą nie większą, niż Tamandua, ale Tamandua liczyła więcej mieszkańców. W Cupim stało sześć domów z lupanych desek piniorowych i drewniana kapliczka, którą poświęcono akurat w dniu naszego przybycia. Byłem świadkiem uroczystego zasadzenia palmy przed kaplicą i brałem udział w puszironie, który urządzano, aby oczyścić plac kościelny z pni i korzeni drzew.

W Patos Velhos zatrzymaliśmy się u zamożnego wendziarza nazwiskiem David Alves. Był to człowiek wesoły i grał pięknie na gitarze.

W Tijuco Preto pod górami Serra de Esperança oglądałem skamieniały olbrzymi piniór.

Cel naszej podróży Guarapuava nie pozostawił w mojej pamięci szczególnego wrażenia. Pamiętam, iż było tam sporo domów i skromny kościółek.

Wyprawa do Palmas wydała mi się znacznie ciekawszą. Wybrałem się tam z partią soli dla hodowców bydła. Sól w pięćdziesięciokilogramowych workach naładowaliśmy na muły w Nossa Senhora do Pilar tj. w Antoninie i ruszyliśmy jak zwykle przez Kurytybę i Campo Largo do Tamandua. Stamtąd jechaliśmy do Porto União, które było nędzną wioską, składającą się z pięciu domków ukrytych wśród kapoejry i drzew imbujowych. Droga z Porto União do Jangada jeszcze obleciała, ale z Jangada do Horizonte natrafiliśmy na pikadę pełną błota, jam i kamieni; z góry zwieszała się takuara i gałęzie drzew. Było to istne piekło, na przebycie którego trzeba było stracić od czterech do ośmiu dni stosownie do pogody.

Palmas położone było wśród piniorowego lasu. Znajdowało się tam pięć domów, a może cztery, dobrze nie pamiętam. Nie było jeszcze kaplicy tylko ołtarz w jednej z chat, przed którym modlono się i odmawiano koronkę. Osiedle podobne było więcej do wsi indyjskiej. Wszędzie uwijali się nadszy Indianie przepasani jedynie jakąś szmatą w biodrach. Mieli oni kacyka imieniem Victorino. Był to niski, krępy i barczysty człowiek o siewiącej czuprynie. Żył w zgodzie z fazenderami.

Indianie pomagali przy pędzeniu bydła przez lasy. W kampie było poganieli jeźdźcy na rącznych koniach. Indianie szli pieszo. Rola ich zaczynała się, gdy zagłębiano się w dżunglę. Posługując się psami pilnowali by bydło nie uciekało w las.

Za otrzymane za przewóz soli wynagrodzenie kupiliśmy woły u fazendera José Ferreira i wdowy dos Passos nad rzeką

Caldeiras. Popędziliśmy te 70 wołów do Tamandua. Nad rzeką Jangada trzeba było obozować osiem dni by woda opadła i można było przejść rzekę w bród.

Jeździłem jeszcze kilka razy w te odległe strony na końcu świata.

No, ale dość się już naopowiadałem. Czas na podwieczorek!

Laurindo podniósł się ze stołka i wprowadził gości do niewielkiego pokoju, w którym na stoliku nakrytym białą płachtą stała gliniana misa, pełna śnieżno-białej mamalygi (farinha de biju). Obok znajdowały się talerze i łyżki.

Gdy goście usiedli przy stole Laurindo zdjął ze ściany róg bawoli, napelniony mlekiem. Przebił łyżką kozuch śmietany, zamieszał, nalał każdemu mleka na talerz i zaprosił do spożywania darów bołych.

— Takie mleko piłem tylko na stacji w Tamandua — powiedział Przedpotopowicz. — Doskonale!

— Ma pan słusność — potwierdził Laurindo. — To mleko pochodzi z Tamandua.

— Z Tamandua?

— Od krowy z Tamandua, czyli tak dobrze jak i z Tamandua — wyjaśnił Laurindo.

Opowiedział potem gościom, że najlepsze krowy wywodzą się ze starej rasy brazylijskiej, zwanej Caracú, która przetrwała najdłużej w Tamandua. Wnuk Laurindo z São Luis, posiadający kilka krow z Tamandua, przysłał mu corocznie w zimie krowę by się ocieliła w Asunguy, gdzie pasza nie wymarza i bydło może się paść na ścierniskach kukurydzianych (tigueras). Wynika stąd korzyść dla obu stron. Laurindo ma mleko, a jego wnuk, gdy na wiosnę stępy się zazielenią, otrzymuje z powrotem wypasioną krowę.

W czasie, gdy to Laurindo opowiadał weszła jego żona by zabrać zastawę ze stołu. Przez drzwi uchylone do drugiego pokoju Przedpotopowicz dojrzał wiszące na ścianie starożytne siodło brazylijskie z przyczółkiem krytym srebrną blachą.

Widok siodła zaciekawił go. Zapytał Laurinda, czy siodło to jest tym właśnie, na którym jeździł w młodości.

— Nie, panie. To siodło mego patrona João de Deus Baptista. Podarował mi je na rok przed śmiercią. Kiedy umarł wdowa sprzedała tropę i przestałem jeździć z kargierami. Osiedłem w Agua Parada i zająłem się uprawą ziemi i tuczeniem wieprzy.

Siodło patrona zawiesiłem na ścianie na pamiątkę przeżytych lat. To samo zrobiłem ze sprzętem furmańskim.

Laurindo podszedł do siodła, podniósł je i pokazał wiszące pod nim na haku rzemienie z kutymi ręcznie strzemionami żelaznymi, długi opleciony sznurem harap do popędzania mułów oraz olbrzymie, również ręcznie kute ostrogi, zwane chilenas.

Opuścił potem siodło i powiedział z wetschnieniem:

— Oto Brazylija moich czasów.

* * *

W dwa lata po opisanej przez nas rozmowie Laurindo zmarł. Syn i wnuki pochowali go na cmentarzu w Tamandua, gdzie ciało jego spoczęło obok ciał znanych mu za życia ludzi.

PROSIMY O WPLACENIE

ZALEGŁEJ PRENUMERATY

ZA ROK 1961!

LISTY Z ZA MURU

II.

11 stycznia 1942.

Droga Pani Stefano!

Po raz pierwszy w tym roku udało mi się wykraść kawałek niedzieli, wolnego pokoju i dziennego światła, żeby znów napisać parę słów. Już chyba pół wieku minęło od czasu, kiedy ostatni raz pisałam do Pani. A jednocześnie tak przelatują dni i miesiące, aż przerażenie ogarnia na myśl, że coraz bliżej do "wolności" raczej wiecznej niż doczesnej, bo tylko ta pierwsza jest zupełnie niewątpliwa. Zresztą teraz panuje tu już ogólne przekonanie, że "kto przeżyje, wolny będzie, kto umiera, wolny już". Od czasu, kiedy pozabierali nam nasze kołnierze i mufki, przekonanie to nabrało jeszcze głębszego sensu. Kiedy mamy mróz, cieszymy się, że "oni" tam marzną. W roku 1943 na moście łączącym ulicę Chłodną nieparzystą w styczniu, podczas siarczystego mrozu, spotkało się dwóch Żydów — ostatnich Mohikaniów rasy semickiej w Warszawie. Jeden mieszka w południowym getcie, drugi w północnym: pozostali ich współwynawcy wymarli. Obaj są nadzy, noszą tylko na prawym ramieniu opaski. "Ale "oni" tam marzną!" — powiada jeden do drugiego. Takie u nas są nastroje. Ciekawa jestem, co mówią "po tamtej stronie". Okropnie jestem zmartwiona, że nie mogę zobaczyć się z Panią. Zawsze okazuje się to niemożliwe i bardzo się boję, że kiedyś zaborą to jedyne miejsce spotkań (1) i wtedy już nie wiem, kiedy się zobaczymy. Widuję się teraz często z Panią Edzią i mam stale jakieś mniej więcej dokładne wiadomości. — Tyle słyszę cudów o trzyletnim już prawie Witusiu i nie wiem, kiedy go zobaczę! Chciałabym już znów dostać list od Pani, bo zawsze mam za mało szczegółów, kiedy tak wiadomości przychodzą z drugiej ręki.

Ogromnie mi dokucają mrozy, bo większą część dnia spędzam na ulicach. Cieszę się, że już trzecią część stycznia mamy poza sobą. Trudno jest przeżyć zimę w takich warunkach. Zeby Pani zobaczyła te bosa dzieci na ulicach!

Kiedy spotykam przez szereg tygodni tych samych żebraków, nie mogę się nadziwić, że ten czy ów jeszcze żyje, że nie zachorował na zapalenie płuc, że chodzi jeszcze na ropiejących z odmrożenia nogach. W tym całym koszmarze jest jakiś patos, brak kompozytora, który by napisał jakąś makabryczną symfonię getta. Ulice getta śpiewają straszliwą, ale niesłychanie barwną melodię, trzeba się umieć zasluchać. Każdy żebrak, każdy sprzedawca ma jakąś swoją melodię, trwałą i niezmienną

przez całe miesiące. Do tego dochodzi stały akompaniament nóg (obutych) przewalającego się tłumu. Czasami jest to chrzęst śniegu, czasem chłopot błota, czasem zaś rytmiczne uderzenia o bruk. To zależy od pogody. Hałas pojazdów dominuje nad tym wszystkim, nad tymi stałymi fortissimo symfoniki. Parę dni temu o 7 wieczorem zatrzymałam się na rogu Pawiej i Zamenhoffa, żeby wpaść się i wsłuchać w ulicę. — Wzdłuż domów stali sprzedawcy świec i papierosów, dzieci przeważnie wykrzykując swoje — "lacht, lacht" (2), jeden przez drugiego, każdy w innej tonacji i na różne melodie. Zapalone świece migotały w ciemnościach, rozrzucając na otoczenie żółtobrązowe światło i klóćąc się z białawym kolorem śniegu, który przebijał się przez ciemność. W tym wszystkim skłębiony tłum ludzi, wszystko ciemne i jakieś kotłujące się w jednym miejscu. To zupełnie jak obraz Goi. Jakaś ponura poezja jest w tym całym naszym życiu.

A propos poezji — czy czytała Pani wiersz, przysłany z Ameryki przez Tuwima pt. "Kwiaty"? U nas to kursuje już od paru tygodni. Jest to cudowna epopeja o zupełnie nowych i niezwykłych wartościach. Doszły do nas zresztą tylko fragmenty. Jeżeli Pani tego nie zna, będę mogła przesłać Pani odbitkę do własnego użytku i rozpowszechnienia. Wczoraj urządziliśmy sobie "wieczór tuwimowski", w którym brało udział około dziesięciu osób i przypominaliśmy sobie wiersze Tuwima od najwcześniejszych do ostatnich. — "Kwiaty" były ukoronowaniem wszystkiego. To naprawdę cudowny poemat.

Oprócz poezji jeszcze coś dla ciała, bo uczestniczka wieczoru, u której się on odbył, poczęstowała nas "protezą" (jest to noga sporządzona ze skórek od siołniny, w braku prawdziwej nogi). Mam teraz bardzo bogate życie towarzyskie. Poznałam mnóstwo wartościowych ludzi i mam zawsze pełen dom "gości". Nigdy nie byłam specjalnie towarzyską, ani nie miałam licznych znajomości, brakło mi nawet przyjaciół, a teraz podczas wojny wszystko się odmieniło. Nie wiem, czemu to przypisać, ale nie wydaje mi się to przykre ani nienaturalne. Jest mi z tym dużo łatwiej przeżywać to, co mam złego do przeżycia. Gdyby nie ta właśnie okoliczność, przypuszczam, że bym nie wytrzymała. Najgorszy jest dom, rodzina, warunki mieszkaniowe. Mieszkam w przejściowym pokoju, jak w autobusie. Nie tylko, że cały dzień kręca się po kilkadziesiąt razy na minutę, ale w ogóle pchają się w drzwiach wszyscy na raz, jak w "metro". To jest wprost obrzydliwe. Nie mogę już tego znieść. Ciasnota jest chyba

gorsza niż głód. A może i nie, zresztą? Wszyscy tu chorujemy na głód przestrzeni. Stałam się ogromnie wrażliwa na opisywane i malowane pejzaże, powiesiłam na ścianach pocztówki z krajobrazami Corota, Sisleya, Moneta i nie mogę się im napatrzeć. Każda zielona barwa przyprawia mnie o niesłychane wzruszenie. Marzę o trawie, żeby móc się na niej położyć, o jakieś polanie, o drzewach, o lesie. Kiedyś śniło mi się morze, ale to był przykry sen.

No, dosyć na dzisiaj. Już się robi ciemno. Wkrótce napiszę znowu. Pozdrowienia dla Geni. Całuję Panią bardzo mocno. czekam na list.

Hala

25-VI-1942.

Droga Pani Stefano!

Dziękujemy serdecznie za list — to zabawne, że my obie poczuwamy się w jednym stopniu do "winy" i piszemy do siebie o tym samym. Długo nie otrzymywałam od Pani listu i teraz dopiero, kiedy przyniesiono mi kartkę z Pani pismem, poczułam, jak mi gwałtownie było brak: to tak jakby zapewnienie, że ktoś myśli o mnie, chociaż jest daleko i chociaż ma tyle swoich trosk. Przez cały ten czas myślałam o Pani, jak myślą o bliskich, pozostałych w rodzonym, ukochanym mieście więźniowie lub przymusowi emigranci. Chciałabym wyjść stąd i pójść do Pani, do Warszawy. Poszłabym sobie Bielańską, Placem Teatralnym, Focha i Nowym Światem, prosto, prosto aż do Placu Trzech Krzyży i Alei Ujazdowskich. Tak bym sobie wolno wędrowała, oddychałabym latem, zielenią liści i trawy w Łazienkach, ile by starczyło płuc. Tyle bym miała przestrzeni dookoła, tyle by było nieba nad głową! Może bym zaszła w dół Agrykolą aż do stawu; popatrzyłabym na Sobieskiego i pałac w Łazienkach. To tak pachnie Warszawą z dawnych czasów, kiedy można było pójść do Polskiego na "Noc Listopadową" i

potem, wprost z teatru, powędrować o północy pod sztachety Łazienek. Jak tam teraz musi być cicho i pusto na Agrykoli! Nie mam już widać wyobraźni słuchowej, bo nie mogę się wczuć w ciszę, jaka by tam teraz panowała. Ciągłe mam w uszach zgiełk ulic zatłoczonych ludźmi i krzyki konających pod murami domów. Nawet cisza wieczorna zakłócona jest chrapaniem i kaszlem sąsiadów w natłoczonych mieszkaniach, a jak często strzałami i jękami z ulicy! Ale po co wracam do getta! Oto najlepszy dowód, że nie ma stąd ucieczki. Byłam przecież w Alejach Ujazdowskich. Teraz już przyszedłam na Mokotów. Zastałam mieszkanie zamknięte i, o rozpaczy, ani śladu mieszkańców! Ale patrzę, jest kartka w drzwiach: "jesteśmy na łące!" Na łące jest Pani i Witus! Położyłabym się na trawie na wznak; nie mogłabym tego nikomu wytłumaczyć, dlaczego chce mi się płakać na widok nieba nad głową.

Czy ja jeszcze kiedyś w życiu zobaczę Wisłę? Nikt nie może sobie wyobrazić, jak można kochać Wisłę, jak można wysilać mózg, żeby ją sobie dokładnie przypomnieć. Bo przecież po pewnym czasie zaczyna się zapominać. Zapomina się rysów i głosu najukochańszych zmarłych, choćby nie wiem jak tęskniło się do nich.

Kiedyś zapytał mnie "towarzysz z celi": "Czy pamiętasz jeszcze, jak wygląda zwyczajny las?" Zaraz zaczęłam wyobrażać suchy upalny dzień na podwarszawskiej "linii" i jakiś sobie zwykły "Meran" — wysokie sosny o gładkich brązowych pniach, z których ku górze luszczą się kora i parasol gałęzi na szczycie. Deptało się po zeschłych igłach, po mchu i wrzosowiskach, wszystko było suche, wszystko trzeszczało pod nogami. Od tego czasu, od tego zapytania nie mogę znaleźć spokoju. Tak chcę pojechać na wieś i pobyć w sosnowym lesie, tak nie mogę przestać o tym myśleć,



REN-O-MAX

INDÚSTRIA

ELETROMECHANICA LTDA.

Chaves blindadas — Cabines e quadros para distribuição de luz e força — Cubículos blindados tipo "Unit Substation" — Calhas blindadas "Busduct" — Disjuntores automáticos de fabr. representada "Federal - Pacific Electric Co."

FÁBRICA:

Rua Madre de Deus 217/227 (Moóca) — Tel.: 93-5669
C. Postal 2.504 - S. PAULO - End. Telegr.: "Eletroarco"

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

ELOBRA

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brig. Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

że aż boję się, żeby z tego nie narodził się jakiś "kompleks lasu". Tłumaczyłam kiedyś 6-letniemu chłopcu, co to jest szyszka, ale nie udało mi się go przekonać, że to zwyczajny "owoc drzewa iglastego".

Nie wiedział, jak to wygląda i wreszcie kazałam mu zasadzić fasolkę w doniczce. I dzieciak zasadził fasolę, starannie ją podlewa, przypatruje się zielonym listkom i już wie, co to jest przyroda! Widział nawet drzewo u kolegi na podwórku. Nic dziwnego, że nie pamięta szyszek z Michalina, był przecież wtedy zupełnie mały "przed wojną". Ale teraz budzi się w nim, po tylu latach, miłość przyrody, pewno po przodkach pasterzach i rolnikach z czasów wielkiego króla Salomona.

Wszystkie dzieci hodują rośliny. W doniczkach, w skrzynkach, na balkonach, w oknach, wszędzie kiełkuje teraz fasola, groch, nasturcja, rezeda, konieczyna. Przychodzi się do znajomych — na oknie doniczka z zieloną warstwą kiełków — "jak u was pięknie rośnie! u nas gorzej, nie ma słońca"! Ale rośliny nie robią zawodu, rosną jak-koś bez słońca! Wychylają główki w stronę światła, rosną na ukos, ale rosną — na przekór całemu światu. Najlepiej chowa się konieczyna, a jeszcze lepiej chwasty. Toteż zajmuję się specjalnie ich hodowlą. W zeszłym roku tak mi obrodziły, że przewyższyły ogrodniczkę. Mój balkon, chociaż niesłoneczny, wygląda jak prawdziwy ogród. Doniczki, skrzynki, pełno zieleni na kwiaty. Największą pociechę mam z grochu — wczoraj otworzył się pierwszy biały kwiatek.

Ażby uzyskać "willowy" nasturcję, położyłam wśród doniczek kamień i cegłę — to wprowadza element architektoniczny — "brique et pierre" — symbol francuskiego budownictwa. — Zresztą przed oczyma mam neogotycką wieżę kościoła ewangelickiego i troszkę otwartego nieba. Wszystko razem dla ubogich — ogród i gotyk.

Odstawiłam moje wykształcenie na szary koniec codziennych zajęć, toteż "po wojnie" nie będą chyba taka mądra, jak to

się niedawno zanosilo. Gdybym miała czas, to uczyłabym się botaniki, bo "potem" chcę mieć własny ogród pod Warszawą. Tylko że teraz już naprawdę nie wiem, czy w doczesnym żywocie znajdują się kiedyś *fuori le mura*.

Coraz częściej na towarzyskich sesjach rozmawiamy o życiu pozagrobowym. Nie znaczy to, że bym wpadła w skrajny pesymizm, co to, to nie, ale trzeba być przygotowanym na to, że pewnego dnia będziemy musieli uznać się za pokonanych i powędrować na łono Abrahama. (Ciekawa jestem, na czyje łono wędrują aryjczyści?) To zresztą nie będzie takie straszne, tylko że nikomu się tam nie śpieszy, zwłaszcza że nie wiadomo, jak tam właściwie jest. Coraz częściej przychodzi mi na myśl cyfry, nieubлагana statystyka zgonów: 5 tys. miesięcznie, 50 tysięcy za ubiegły rok. Słowem, stoimy już wszyscy w kolejce, w której — o dziwo — każdy chce być jak najdalej, bo a nuż się uda i zamkną mu przed nosem okienko. To znaczy: zdąży nie umrzeć przed końcem wojny. A potem... Potem będziemy mieli *aurea aetas*, raj na ziemi i wszystkim Żydom będzie bardzo dobrze. (Opowiem Pani w jednym z przyszłych listów, jakie są moje horoskopy na tę szczęśliwą przyszłość). Tymczasem żyjemy tu w ustawicznym strachu, zasłuchani w kursujące od pewnego czasu pogłoski o bliskim zmięczeniu Izraela. Czekaemy na jakiś kataklizm, na jakąś burzę, która ma nas zmieść z powierzchni ziemi, już na zawsze. Nie wiem tylko, czemu się to teraz narodziło. Fakt jednak jest, że przeznaczeniem naszym jest czekać zagłady.

Na szczęście (a może na nie-szczęście, to się okaże) jestem, jak już Pani pisałam, zakochana. Mam więc głowę zajęta tak ważnymi sprawami, że nie mogę jednocześnie martwić się o wszystkich Żydów. Ten jeden przysz-parza mi dość zmartwienia. Nie mam kiedy widywać się z nim, a co gorsza — nie mam gdzie. Najlepszym stróżem moralności w getcie są warunki mieszkaniowe. Była tu nawet taka re-wia: "Miłość szuka mieszkania". Widujemy się naprędce, czasem

w kuchni ludowej na obiedzie, czasem, tuż przed 9-tą wpadam do niego na 5 minut, żeby mu powiedzieć dobranoc i potem wysłuchiwać wymyślań policjan-tów. Wanda Milner (3) jest realistką i bierze życie po prostu: "zareczyła się oficjalnie" z jakimś smarkaczem i czeka na koniec wojny. Tymczasem ma "narzeczonego" i jest niesłychanie dumna. Irka i R. pracują w "szopach" po dwanaście godzin dziennie w zamian za utrzymanie i 1 - 2 złote dziennie. Elza bardzo chciałaby do Pani napisać, ale we wszystkich wolnych od pracy chwilach śpi. Te wiadomości o moich koleżankach są zresztą całkiem przestarzałe. — Łatwo się domyśleć, jak często się widzujemy, skoro droga ode mnie do Wandy trwa trzy kwadranse, a obie jesteśmy zajęte

niezliczoną ilość godzin. Kilka razy do roku wypadają nasze u-rodziny. Wtedy umawiamy się u solenizantki i często nie przy-chodzimy. Wiadomości o sobie zasięgamy u osób trzecich, które przypadkowo spotkało się na ulicy. Całe szczęście, że istnieją tak zwani "wspólni znajomi". Czasami któraś z nas zateęskni za drugą, albo też musi jej "ko-niecznie coś powiedzieć". Wte-dy przychodzimy do siebie na noc.

U W A G I :

- 1 Mowa o Sądach z dwoma wej-ściami.
- 2 Świece (w jęz. jidysz).
- 3 Koleżanka szkolna Haliny.

Przedruk ze "Świata"

W Kilku Wierszach

POLSKA NA MORZU

Na ostatnich Targach Poznańskich nikt nie omijał stoiska brazylijskiego, choćby dlatego żeby osobiście sprawdzić, jaką kawę można przyrządzić z tego samego ziarna, z którego w pol-skich kawiarniach robi się lurę.

★
W czerwcu odlecieli z Warsza-wy do Kanady dwaj piłkarze, którzy przez najbliższe sezony będą grali w drużynie Biały Orzeł — Toronto. Są to Emil Szarzyński z Gwardii Warsza-wa i Roman Michałek z Fablo-ku Chrzanów. Jak wiadomo w zespole Białego Orła występuje już od dłuższego czasu czterech b. piłkarzy Wisły Kraków. W kilka dni po tej ekspedycji wy-ruszyli do Australii bracia Gro-nowscy z Lechii Gdańsk. Będą oni grali w drużynie Polonii (Melbourne).

★
468,7 tys. abonentów posiada w Polsce odbiorniki telewizyjne, z tego w miastach - 404 tys., a na wsi 64,7 tys. Stosunkowo najwięcej osób korzysta obecnie z usług TV w rejonach Katowic i Warszawy, a następnie Łodzi, Poznania, Gdańska oraz Wro-cławia.

★
Abonentów radiofonii bez-przewodowej jest 4.047 tys. Ra-dioowych odbiorników lampo-wych zarejestrowano w miastach 2.768 tys. i na wsi 1.279 tysięcy.

Po morzach i oceanach całego świata pływa w tej chwili 139 polskich statków o łącznym tonażu ponad 800 tysięcy DWT. Jednostki te obsługują 28 regularnych linii, wodzących do portów wszystkich pięciu kontynentów świata. Z Gdyni, Szczecina, Gdańska i Kołobrzegu polskie statki — z regularnych linii i z tak zwanych rejsów trampowych nieregularnych — zawijają obecnie do ponad 150 portów w 50 krajach.

Do 1965 roku polska marynarka handlowa otrzyma około 80 nowych jednostek, powiększając swój tonaż co najmniej do 1.270 tys. DWT.

Rozbudowywać się będzie także porty. Już w tej chwili, Szczecin, w którym w r. ub. przeładowano 8,8 mln. ton towarów — to jest więcej, niż kiedykolwiek w przeszłości — zajmuje czołową pozycję na Bałtyku. Cztery porty: Szczecin, Gdynia, Gdańsk i Kołobrzeg przeładowały w r. ub. prawie 22 mln. ton towarów. Za 5 lat, w 1965 r. przeładowywać będą około 28 mln. ton rocznie. Stąd nie się to możliwe m. in. dzięki budowie wielu nowych urządzeń, nabrzeży dźwigów itd.

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O
MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

POWIELACZ

MIRA LAMPE-SŁAWIŃSKA, São Paulo

*Pani Florze Rotfeld w Sztokholmie
na pamiątkę "emocji" wojennych przy
"Narbuttastrasse" w Warszawie —
— poświęcam.*

Widok powielacza budzi we mnie dość pomieszane uczucia. "Mixed sentiments", jak powiadają Anglicy. Kojarzy się on z jednym z mych intensywnych przeżyć z okresu wojny, kiedy to podobny sprzęt odegrał niemałą rolę sentymentalno-dramatyczną. Był to ten, który jak sięgnę pamięcią stał nieważnie na stoliku między półką na rejestratory, a starą z rzadka używaną prasą do papieru w biurze fabrycznym mojego dziadka.

Gdy po latach przedsiębiorstwo zostało zlikwidowane, powielacz znalazł się w piwnicy naszego domu obok żelaznego łóżka, kotła do bielizny, tary do szatkowania kapusty i również przedawnionego, bo mocno z przodu i z tyłu wypiętego kadłuba manekinu.

W którymś ze złych lat wojny, gdy niedostatek i mróz zdążył już w czarodziejski sposób przemienić biżuterię, obcą walutę, białe kruki z biblioteki w węgiel, mąkę i słońce, przypomnieliśmy sobie stary powielacz.

Przytaszczył go na górę dozorca i postawił na środku obszernego pokoju, który nie tak dawno jeszcze zwał się pompacyjnie salonem, a teraz stał się skondensowanym — dla zaoszczędzenia opału — kilkupokojowym mieszkaniem. Centralne ogrzewanie zastąpiła dziadowska "kózka" — żelazny piecyk o długiej, blaszanej rurze wetkniętej w ścianę, w ocementowany otwór po pocisku.

— Czyli, że będzie tera robota, no nie? — zagadnął chłop — mnie może pani powiedzieć bez krępacji, bom przecie "polityczny" — mrugnął znacząco.

— Będzie sprzedany — oznajmiłam sucho.

Zaśmiał się chytrze.

— A kto to kupi, psze pani? Zarezykuje pani ogłosić? A ten chtoś zarezykuje tu przyjsć?



Pamiętam, że niekiedy zjawiał się ktoś ze znajomych albo przez znajomych polecony, powielił jakieś kartki, listy, może dokumenty i ulatniał się. Na tym kończyła się zazwyczaj rola powielacza, na którego rzeczywiście nie znalazł się — a może i nie był już nawet poszukiwany — nabywca.

Pewnego jesienno-go dnia — było to w połowie października roku 1943 — jeden z tych przysłowiowych jasnych gromów, które coraz częściej i dokładniej trafiały w domy Warszawy — nie ominął i mojej rodziny: wysoka, szara buda Gestapo zajechała po matkę i powiozła ją na Pawiak.

Zrozpaczeni, zdezorientowani zachodziliśmy w głowę: za co, dlaczego? Kto się tym razem nam przysłużył i to w chwili, gdy nikogo z rodziny nie było przy aresztowaniu.

Sąsiedzi też zgadywali na prześcigi.

— To za tę smarkaterię co to się tam zbierała we czwartki...

— Była kąpana w gorącej wodzie, obraziła Szkopa w tramwaju...

— Za to, że ukrywała "naszych"...

— Zemsta ze strony Fascio di Varsavia, miała tam wrogów...

— Niemożliwe — jest Włoszką...

— Z ojca. Matka Jugosłowianka.

— No więc? Jak by znalazł w dzisiejszych czasach.

— Właśnie, że nie: była anti-Ante...*

— Aaaa...

Domysłom nie było końca.



Po wielu żmudnych staraniach udało mi się wreszcie dotrzeć do funkcjonariusza Gestapo, od którego zależał los mojej matki oraz jej mieszkania, zamienionego przez parokrotne rewizje w istną stajnię Augiasza.

* Aluzja do Ante Pavelica, jugosłowiańskiego Himmlera.

Drżąc, jak osika ale z hojrzącą miną zapytałam o właściwy powód osadzenia matki w więzieniu.

"Obersturmführer" ALSEN porwał się z fotela, oparł się na swych potężnych muskularnych pięściach i zgiąwszy się łukiem nad biurkiem, ryknął mi niemal-że w twarz jakieś zawile brzmiące zdanie, które — jak się potem dowiedziałam — było jednym jedynym ale złożonym wyrazem i znaczyło po ludzku: powielacz.

VERVIELFAELTIGUNGSAPARAT!!!

Z tej gamy sylab zrozumiałam trzy ostatnie, na których zatrzymało się grubiańskie "fortissimo" Niemca.

— Wie... bitte? — zapytałam nieśmiało.

Wciąż jeszcze oparty na swych przednich kończynach — co nadawało mu wygląd olbrzymiego buldoga — przyglądał mi się badawczo, ale już mniej rozjuszony.

— Vervielfaltigungsaparat — powtórzył, akcentując tym razem sylabę "viel".

Odcchrząknął i z powrotem usiadł w swym fotelu obrotowym. Kręcąc się niecierpliwie, szukał czegoś pod stołem papierzysk. Wreszcie znalazł cygaro i zapalił je z widocznym zadowoleniem.

Mnie samej wciąż jeszcze zdawało się, że pod wpływem jego wrzasku rozleciałam się wszystka i, że nigdy nie pozbięram się do kupy. Mogłam jedynie wnioskować, że stało się wiele złego z powodu jakiegoś aparatu.

— Aparat... viel... powtarzałam bezradnie.

Niemiec obserwował mnie przez dobrą chwilę, wreszcie wybuchnął:

— Przecież włada pani niemieckim, a nie rozumie, co do niej mówię? Co za komedia! No, prawda, jesteście przecież narodem artystów — zauważył z ironią.

— Jaka komedia, na Boga, ja na prawdę nie rozumiem co pan mówi.

Przyjrzał się mnie jakoś łaskawiej i nie bez pewnej sympatii, starannie zresztą kamuflowanej. Ośmielił mnie ten jego wzrok.

— Mówi pan tak prędko, jakoś niewyraźnie, może dlatego, że z cygarem w ustach — a słyszałam kiedyś taki świetny dowcip niemiecki, że gdy się tym językiem mówi pełnymi ustami, pełnymi ustami knedli — to wychodzi z tego angielski. A ja angielskiego nie znam — chwyciłam się powroza nad przełęczą.

Opieszale wyjął cygaro z ust. Wydał wargi i wypuścił dym.

— Nie mówi pani po angielsku? To źle. To bardzo źle. Dzisiaj uczy się tego języka cała Gubernia Generalna i — cały Reich. Wy — bo macie nadzieję, że po wojnie staniecie się kolonią brytyjską z księciem Windsoru jako wice-królem na czele, my — bo spodziewamy się zająć wkrótce Indie. Cha, cha, cha! — zaśmiał się głośno, ale śmiech ten nie wydał mi się szczery. Szybko zresztą powrócił do swego rubasznego tonu. Wraz z całą kabiną fotela wypełnionego jego potężnym zadem, zrobił tak raptowny półobrót w stronę jednych z drzwi, że aż oś pod nim zgrzytnęła, jak szarpnięte hamulce w wozie.

— Stachowyack — zawołał — Stachowyack, przynieście mi tu ten sprzęt zarekwirowany na Narbuttastrasse, w tym gnieździe os — wycedził już w moim kierunku.

Rozległo się siarczyste "jawohl" w parze z trzasnięciem obcami i po chwili pojawił się na biurku nasz stary powielacz.

Podniosłam się z fotela i oszołomiona zaczęłam głaskać czarny, porysowany walec powielacza.

— Biedny świadku dobrych czasów, jaka twoja wina, jaka moja, że my teraz tutaj...

Obersturmführer poruszył się niespokojnie.

— Niech pani siada — rzekł głosem, który zdawał się nie być jego własnym — żal mi pani, nie znoszę babskich łez, choć to przeważnie łyzy krokodyle. Tylko nie przerywać — zastrzegł się ruchem dłoni — mogło być o wiele gorzej, gdybyśmy znaleźli to, co było właściwym celem naszej rewizji — doniesiono nam, że w waszym domu ukrywają się Żydzi. Tymczasem zdążyli już się ulotnić. Nie na długo i nie daleko, i tak ich wszystkich wyłapiemy. Na razie zajęliśmy się tym powielaczem.

— A cóż ten stary grat komu przeszkadza? — zdziwiłam się głośno.

— Stary grat! — zachnął się. — Czy pani wie, czym potrafi być taki niewinny na pozór grat? Ten mały sprzęt mnoży ludzkie słowa! Zatrute słowa w tym wypadku. Luźne kartki rozsiewają wiadomości, podobnie, jak podmuch wiatru rozpyla nasienie kwiatów — zielska w tym wypadku. Zielsko, które my musimy wyrwać, bezlitośnie wyrwać, bo zachwaszcza pole, dane nam pod opiekę. Powielacze! Takie właśnie niepokojne, jak oto ten! Zza komód, ze ściennych szaf, ze schowków na strychu czy w piwnicy, najwyrafinowanej ukryte przed okiem władz.

— Stał w przedpokoju — przerwałam.

JA

— Właśnie, co za perfidia, liczyliście na ewentualną rewizję tylko w pokojach, ale prosiłem, by nie przeszkadzać — upomniał. — Otóż te ukryte powielacze wyprawiają codziennie w świat niebezpieczny fracht słów podszytych dywersją, ogniem, sabotażem, a rozsiane po całym kraju kwatery ruchu oporu z kolei uwielokrotniają je, wyolbrzymiają, złocą. Pojęcia pani nie ma ile z tym chwastem mamy roboty. Co to za potęga tej niepozornej broni konspiratorów. Z własnego doświadczenia wiemy, z lat, w których się organizowaliśmy. Nasz Führer także był konspiratorem przez długie lata, ale on wiedział oczywiście czego chce i o co walczy. Wiedział, że Opatrzność wyprowadzi go pewnego dnia z piwnicy browaru monachijskiego na balkon Kancelarii Rzeszy, Europy, świata całego — podniecał się Obersturmführer — heute haert uns Deutschland und morgen die ganze Welt — powtórzył słowa z marszu — dziś słuchają nas Niemcy a jutro — cały świat.

Szeroko rozwarł ramiona i wypiął pierś. Sprawiał wrażenie rozdymającego się, wielkiego, czerwonego pecherza. Przerazał mnie i śmieszył zarazem. Może zdradziłam się nie chcąc, bo przyskoczył raptem do mnie i wymachując ramionami zaczął krzyczeć mi nad głową:

— A w tym pochodzie do szczęścia ludzkości, do tysiącletniego pokoju, jaki po tej wojnie zapanuje, przeschkadzacie nam wy, wy z waszą nikczemną bronią z zasadzki. Małe to, kruche, niby nic — uderzył po powielaczu ruchem zgrywającego się aktora z prowincji — a groźniejsze od największej maszyny rotacyjnej. Zakonspirowaną drukarnię można podpalić, wysadzić w powietrze, redaktora powiesić i — spokój. A tu zbieraj bracie, złe nasienie, szukaj ziaren maku w worze pszenicy.

Rozległ się dzwonek telefonu.

— Jawohl — strzelił w słuchawkę Alsen.

Z poety-oratora partyjnego stał się znowu służalczym milicjantem hitlerowskim.

— Muszę skończyć, żałuję — zwrócił się do mnie — mam nadzieję, że...

Nie dokończył, bo otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł błąd, wystraszony chłopiec, popychany przez dwóch funkcjonariuszów Gestapo, kropla w kroplę podobnych do Alseny, tyle, że niższych rangą.

— Do widzenia — wykrztusiłam, biegnąc niemal-że ku wyjściu. Za mną wielkimi krokami podążył "Obersturmführer".

— Hej — usłyszałam — nie pożegnaliśmy się, jak należy. Jestem winien pani pewne wyjaśnienie. — Sciszył głos.

Odwrociłam się, zamieniona w słuch. Spodziewałam się wzmianki o matce, tym więcej, że Niemiec zmienił ton na bardziej ludzki.

— Jestem z dalekiej północy — zaczął wbrew mojemu oczekiwaniu — stąd mój dialekt, moja odmienna wymowa. Urodziłem się na wyspie Sylt, jako syn rybaka i stąd też moja twardość. A tu wśród tych murów każą udawać jeszcze twardszego — rzekł, jak by się usprawiedliwiał.

— I świetnie pan udaje — trzeba przyznać...

Uśmiechnął się.

— Widzę, że i wyspie Sylt nie brak artystów — dorzuciłam już śmiało.

Teraz się roześmiał. Podszedł bliżej z wyciągniętą ręką.

— Tofytsenia pany — wyseplenił z wysiłkiem, kłaniając się nisko.

— Do widzenia panu — odpowiedziałam po polsku, jak mogłam najgrzeczniej.

Podniósł na mnie swój wzrok jakiś przenikliwy, jakiś wyczekujący...

— Gdzie? — zapytał ledwie dosłyszalnie.

— W Bombaju — odpowiedziałam dobitnie...

Mira Lampe-Stawińska.
São Paulo.

Dr. S. Felix Werpachowski

CHIRURG - DENTYSTA

Klinika specjalistyczna dla dorosłych i dzieci

PRZYCHODNIA: — Ed. Brasilino Moura
Rua Cândido Lopes n.º 205 — 7.º and. — CURITIBA

MIESZKANIE: — Rua Maj. França Gomes, esquina
Curupaity, 781 - Vila Carmela Dutra - Sta. Quitéria.

Podziwiam krzewy koralowe białych bezbrzeżnych wód.
Podziwiam skórki bananów sunące bez celu kanałami świata.
Podziwiam ryby płynące nie wiedząc po co.
Podziwiam telefony dzwoniące poprzez bezkres przestrzeni.
Podziwiam ludzi wędrujących drogami strzępów życia.

I w końcu z tego nadmiaru podziwu ogarnia mnie znużenie.
I przykładam głowę do łąki źródeł bijących wodą odległych bytów i rozmyślam, marzę, ukołysany rytmem kropel wyobraźni, padających w czasie moich snów. Bywa, że bierze mnie ochota ułożyć się na niebiosach i ku ziemi wyciągnąwszy rękę uchwycić garść przeróżnych jaźni, by je niby przez sito przesiał pomiędzy palcami i w zanadrzu mych wspomnień zachował najpiękniejsze z nich — jaźnie gasnących światła.

I kuje dunty światów przeciw światom. Niepokoję, wypłaszam monotonne istnienia z szarych żywotów otowianych dni. I bierze mnie ochota płatać złośliwe figle, strącać gwiazdy i umknąć z księżycem.

I w końcu z nadmiaru pragnień ogarnia mnie znużenie.

I opieram umęczoną głowę na wonnej piersi kobiet barwy hebanu. I chłonę ich żywicę półotwartymi ustami. A gdy rozkosz przerasta mnie samego ogarnia mnie wstąpienie do siebie i do wszystkiego co mnie otacza.

I usypiam, myśląc o piekle.

To ja.

Tłum: Mira Carla.

Um bode, patua e mina...

Oí o bode preto!

De copo na mão, encostado no bar e o bode preto querendo bater.

Oí o bode! O bode vai batê e êsse é dos bom, pretão!

O boteco do Elias vai cheio a essa hora. O português se desdobra atrás do balcão.

— O Elias, olha o meu!

— Elias tu com onda comigo.

— Te dou uma perna agora e o resto...

Oí o bode preto!

Quando meteu a mão no bolso, apalpou um courinho roliço, pequeno com concha encima. O courinho por dentro tem uma prece, e a prece...

— São Arcanjo Gabriel, tu que com espadas de fogo... Santa Rita que amaste mais de mil homens que... e as três cruzez encima, as três enbaixo...

Deu um sorriso. O outro percebeu.

— O bode preto tá quase batendo!

Que bode, que o que, patuá no bolso, alma de trapos. E violão.

Oí Elias mais um Todi!

A garrafa da batida corre de um lado ao outro. Bom sujeito o Elias, tem vergonha de cobrar. Português assim não se encontra. Ai se não fora a filha enalhada, coitada...

Oí o bode, patuá e a cabrocha...

Êta mina!

Mas o bode está mais perto. Corre agora pela rua Larga. Daqui a pouco entra no Elias.

— Alô... Bar Minerva... que?... ora, raios.

Mas o patuá no bolso protege. Seis horas no Rio e o bode preto chegando. Êta movimentão, e que calor...

Patuá, bode cabrocha...

Patuá protege...

O bode bate...

E a mina?!...

.....
E o bode bateu...

Ainda ouviu:

— Esse é dos bom, pretão!

Notatki z São Paulo

Każdy nawet powierzchowny obserwator spostrzeża, że życie polonijne w São Paulo nie tylko nie rozwija się bujnie, lecz wprost odwrotnie zamiera.

Z istniejących tu trzech placówek polskich najwyższą działalność przejawia Klub 44. Wieczory dyskusyjne, odczyty, pokazy filmowe, wystawy świadczą przynajmniej o chęci stworzenia ośrodka kulturalnego, wychodzącego poza zazwyczajny krąg młodej uroczystości narodowych, cechujących "normalną" działalność stowarzyszeń polskich. Ostatnio nad Klubem 44, grupującym ponad trzysetny członków, zawisła groźba likwidacji. Przyczyniło się do tego znane zarządzenie eks-prezydenta Janio Quadrosa, zakazujące gry w karty w klubach, nie posiadających własnych siedzib. Wobec stosunkowo bardzo niskich opłat członkowskich opłaty od gry w karty pozwalały na pokrycie deficytu budżetowego i zgromadzenie funduszu przeznaczanego na akcję społeczną (Klub 44 jest jedną z nielicznych instytucji polskich w Brazylii, które w wypadkach losowych dopomagają w miarę sił i możliwości swoim członkom). Losy Klubu 44 rozstrzygną się prawdopodobnie na nadzwyczajnym walnym zgromadzeniu, zwołanym na dzień 10 października b. r., na którym członkowie mają się wypowiedzieć w sprawie zmiany statutu umożliwiającej nabycie siedziby własnej. Związane to jest z dość dużymi ofiarami materialnymi ze strony członków. Należy żywić nadzieję, że pożyteczna placówka, jaką jest Klub 44, zostanie nie tylko utrzymana, lecz że da jej się możliwość swobodnego rozwoju we własnej siedzibie.

Najstarszym stowarzyszeniem polskim w São Paulo, posiadającym duże zasługi w dziedzinie utrzymania polskości wśród tutejszej kolonii, jest Stowarzyszenie im. Józefa Piłsudskiego. Stowarzyszenie to jest właścicielem sporego domu, w którym znajduje się m. in. sala teatralna. Od dłuższego czasu liczba członków stowarzyszenia spada co przypisać należy przestarzałości statutowi, zakazującemu przyjmowanie osób pochodzenia polskiego, będących obywatelami brazylijskimi. W rezultacie stowarzyszenie grupuje dziś zaledwie kilkunastu członków płacących regularnie składki. Działalność kulturalna stowarzyszenia ogranicza się do organizowania kilka razy do roku akademii okolicznościowych i do prowadzenia czytelnicy polskiej, czynnej raz w tygodniu. Księgozbiór stowarzyszenia składa się z pozycji przedwojennych, nie uzupełnianych nowościami. Wiele książek uległo zniszczeniu w czasie powodzi, która przed kilku laty zalała pomieszczenia stowarzyszenia. Budżet swój stowarzyszenie łąta wynajmowaniem sali na wesela i urządzaniem potańcówek, połączonych z wyszynkiem napoi wysokowych.

Wreszcie trzecim stowarzyszeniem polskim jest grupujące niewielu członków Towarzystwo im. Fryderyka Chopin'a, zarządzające zebrania raz w miesiącu w odnajętym lokalu.

São Paulo, będące centrum kulturalnym Brazylii, powinno też, naszym zdaniem, odgrywać bardziej aktywną rolę w życiu kolonii polskiej. Mieszka tu i działa wielu wybitnych intelektualistów — artystów, uczonych, architektów i pisarzy polskiego pochodzenia. Jest więc możliwość zorganizowania ośrodka kulturalnego, który mógłby emanować na wszystkie skupiska polskie w Brazylii. Mniejsza jak by się taki ośrodek nazy-

Przegląd życia Polonijnego

wał: Instytut Polsko-Brazylijski, Dom Polski, czy też inaczej. Chodzi o to, w szczególności, aby stworzyć oazę polskości, w której każdy z nas czułby się jak w domu i w której jednocześnie można byłoby poprowadzić pożyteczną pracę zbliżenia kulturalnego z gościnnymi gospodarzami kraju, w którym mieszkamy.

(as)



Mistrz Jan Sobociński i jego synowie: Milton i Alan

Rodzina sportowa

Mały domek na przedmieściu São Paulo. Wybudowany oszczędnie jak wszystkie domki finansowane przez Caixa Econômica.

Drzwi na ganek otwarte. Z miniaturowego ogródka, w którym rośnie jeden jedyny krzew, widzę smugę światła.

Sprawdzam raz jeszcze numer. Tak, to tu właśnie mieszka mistrz Jan Sobociński. Nie ma dzwonka. Klaszczę więc zwyczajem brazylijskim w dłoń. Po chwili w drzwiach zjawia się młoda i ładna dziewczyna, typowa Hiszpanka. Córka. Prowadzi mnie do pokoju skromnie umeblowanego, którego największą ozdobą stanowi telewizor. Właśnie nadawane są aktualności z całego świata i p. Jan Sobociński wyjaśnia mi, że to właściwie jedyna pozycja programu, poza widowiskami sportowymi, na którą zwykły patrzyć.

Pan Jan jest nieduży, zażywny, łysawy. Z sympatycznej, dobronudziej twarzą nie schodzi uśmiech. Wcale nie wygląda jak strzelec wyborowy. Za łagodny. A może ja sobie tylko wyobrażam, że mistrz strzelecki powinien być wysoki, w kapeluszu kowbojskim i z dwoma rewolwerami zatkniętymi u pasa.

Zaraz zaczynamy mówić o sporcie. Pierwszy kontakt ze sportem pan Jan nawiązał, gdy miał niespełna 10 lat. Uczył się w owym czasie w słynnym kolegium Maletańskim i prof. Matuszewski zaczął go wprowadzać w arkaną lekkoatletyki. Trenował, biegi i skoki, strzelał z karabinku małokalibrowego. Było to przed pierwszą wojną światową. Malet, niewielka miejscina, otoczona była wieńcem lasów i pól, w których nie brakło zwierzyny łownej. W kolegium zaś istniał zwyczaj, że najlepszemu uczniowi wypożyczano na sobotę i niedzielę dubeltówkę.

— Widać nieźle się uczyłem — śmieje się p. Jan — skoro strzelba nie wychodziła z mojego domu. Stąd zamiłowanie do strzelectwa. Ale początkowo więcej mnie pasjonowała lekkoatletyka, piłka nożna i siatkówka. Najpierw biegałem na 100 i 200 metrów, potem z wiekiem przeniosłem się na dystanse dłuższe — 1.500, 3.000, 5.000 i 10.000 metrów. Nie miałem w tej dyscyplinie nadzwyczajnych wyników, ale zwyciężyłem w kilku mistrzostwach stanowych w Paranie.

W roku 1921 i 1922 przebywał pan Jan w Polsce, gdzie, jak powiada, miał zamiar studiować. Tam też w roku 1922 w obozie przysposobienia wojskowego w Rzućwie koło Pucka wygrał pierwszy konkurs w strzelaniu do tarczy. Potem w latach 1924 - 1925 w wojsku brazylijskim uzyskał tytuł najlepszego strzelca. Ale pierwszy prawdziwy sukces przyszedł dopiero w roku 1928 kiedy na inauguracji wielkiej strzelnicy w Kurytybie udało mu się uzyskać puchar w strzelaniu z karabinu wojskowego.

Później już sukcesy zaczęły się mnożyć. W latach 1937 - 40 był czterokrotnie mistrzem Parany w strzelaniu, a po przeniesieniu się do São Paulo wielokrotnym mistrzem tego stanu od roku 1946 do 1960. Mistrzostwo indywidualne Brazylii zdobył cztery razy. Na zawodach międzynarodowych uzyskuje z Argentyną 1 miejsce, z Urugwajem — 2, z Portugalią — 3 i z Japonią — 2. Bierze udział w mistrzostwach świata w Oslo w roku 1952 i w Wenezueli w roku 1956 plasując się na 14 i 16 miejscu. Kilkakrotnie bije rekordy świata.

Nie mniejsze sukcesy i zasługi osiąga w dziedzinie organizacji sportu. W latach od 1925 do 1932 organizuje i prowadzi jako sekretarz generalny Towarzystwo Sportowe "Junak" w Kurytybie, które w tym czasie było najsilniejszym ugrupowaniem sportowym w Paranie. Jest pierwszym, który wprowadza w Paranie grę w siatkówkę i koszykówkę. Następnie, w São Paulo toczy przez cztery lata boje o legalizację sportu strzeleckiego. Wydaje się to teraz nieprawdopodobne, ale do roku 1946 strzelectwo było w São Paulo wzbronione.

Rozmowę naszą przerywa ukazanie się gospodyni. Pani Helena, Brazylianka czystej krwi, również interesuje się sportem. Wyobrażam sobie, że pasją tą zarazona została przez męża. W zeszłym roku na mistrzostwach w São Paulo uzyskała drugie miejsce w strzelaniu z pistoletu.

Teraz dopiero zaczyna się opowiadanie o synach. Wydaje się, że zarówno p. Jan, jak i jego żona nie potrafią mówić o czymś innym. Zdaniem p. Sobocińskiego synowie zdystansowali go całkowicie. Starszy, Alan, zaczął strzelać w wieku lat jedenastu; młodszy, Milton, w tymże wieku, lat jedenastu. Każdy z nich ma po 14 pierwszych miejsc w mistrzostwach Brazylii. Najmłodszy, Ney, o którym twierdzą, że jest najlepszy, zdobył już mistrzostwo São Paulo.

— O, ten puchar uzyskał właśnie Ney na mistrzostwach wojskowych, — mówi pan Jan. — Niech pan popatrzy.

Oglądam. W pokoju na wszystkich pułkach stoją puchary różnych kalibrów i kształtów. Z każdym związane jest jakieś wspomnienie. To trofeum zostało zdobyte przez Alana, chociaż był chory i miał silną gorączkę, tamto...

— Ale nie pokazałem panu jeszcze medali. Mamy ich z synami ponad 1.500.

Oglądam. Nieprawdopodobne! 1.500 medali!

— Ważą ponad 30 kilogramów, — powiada pan Jan.

Jestem już z lekka oszołomiony nie wiem, czy lawiną tych medali, czy szklanką Cuba-Livre, którą pijemy na zdrowie sportowej rodziny.

— Widzi pan — mówi nieco melancholijnie p. Sobociński, — nie dorobiłem się ani własnego domu, ani samochodu. Strzelectwo to kosztowny sport — amunicja pochłania majątek, trzeba ją kupować z własnej kieszeni.

(sh)

PIĘĆ MINUT ROZMOWY Z RYSZARDEM STANISŁAWSKIM

Komisarza wystawy polskiej na VI Biennale w São Paulo, Ryszarda Stanisławskiego, trudno upolować. Zajęty od rana do wieczora przy urządzaniu działów polskich na Biennale odkłada z konieczności nasze wizerowanie z dnia na dzień. Spotykamy się wreszcie w zacisznym barze hotelu Claridge.

Pierwsze wrażenie — Stanisławski wydaje mi się bardzo młody. Twarz otwarta, włosy na jeża, okulary. Wygląd chłopięcy. Ale przyznaje się sam, że ma już 40 lat. Zaraz po wojnie studiował przez pięć lat historię sztuki w Paryżu, potem nostryfikował dyplom na Uniwersytecie Warszawskim. Jest specjalistą z zakresu sztuki współczesnej i teorii sztuki ze szczególnym uwzględnieniem sztuce polskiej?

Zadaje Ryszardowi Stanisławskiemu tylko jedno pytanie.

— Jakie jest pańskie zdanie o współczesnej sztuce polskiej.

— Moim zdaniem od roku 1955 do chwili obecnej polska sztuka współczesna przeżywa rozkwit jakiego dotychczas historia sztuki polskiej nie notowała. Po raz pierwszy mamy do czynienia z niezmiernie szerokim wachlarzem kierunków malarstwa polskiego, co związane jest niewątpliwie z zupełną swobodą wypowiedzania się artystycznego, z zupełną swobodą dyskusji artystycznej.

Nigdy też jeszcze nie było podobnego zainteresowania sztuką polską jak obecnie. Dowodem wysokiej jakości naszej sztuki niechaj będzie fakt, iż szereg artystów polskich należących do awangardy sztuki światowej, uzyskało i uzyskuje nagrody na wystawach międzynarodowych. Mamy świeżo w pamięci sukces Tadeusza Kulisiewicza, który na obecnym Biennale zdobył wielką nagrodę za cykl rysunków meksykańskich. Nie jest to zresztą jego jedyny sukces międzynarodowy. W Paryżu święcił tryumfy Lebenstein (najwyższa nagroda), w São Paulo na poprzednim Biennale — Kobzdej, w Tokio — Chrostowska (wielka nagroda). W Genewie odbyły się niedawno dwie wystawy polskie (150 obrazów), w Wenecji wystawa malarstwa współczesnego, a w ciągu ostatnich dwóch lat — wystawy w Brukseli, Sztokholmie, Moskwie i w Paryżu. Na szczególne podkreślenie zasługuje zorganizowana w Nowym Jorku w Muzeum Sztuki Nowoczesnej z inicjatywy tegoż muzeum wystawa pod nazwą: "Piętnastu malarzy polskich", złożona wyłącznie z obrazów znajdujących się w zbiorach amerykańskich.

Stanisławski zerka na zegarek. Nie śmiem go dłużej zatrzymywać.

— Chciałbym, żeby Pan przekazał kilka słów wdzięczności, gospodarzom tego pięknego kraju, w którym się znajdujemy. Jestem wzruszony gościnnością ludzi i urzeczony pięknem krajobrazu, architekturą nowoczesną, podziwianą na całym świecie. Nazwiska architektów brazylijskich da Costa, Nimeyera i Reidi są ogólnie znane w Polsce. Zauważę tylko, że nie mogą tu przyjeżdżać nasi artyści i studenci. Wzajemna sympatia wskazuje, że te kontakty mogły by być żywsze, niż obecnie.

(as)

PROFESOR ANIELA GINSBERG

Prof. Aniela Ginsberg ukończyła wydział filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładowcami jej byli: profesorowie Baley, Kotarbiński i Witwicki. Doktoryzowała się pod kierunkiem prof. Witwickiego z psychologii. Jeszcze przed ukończeniem uniwersytetu zaczęła pracować w Miejskiej Poradni Psychotechnicznej w Warszawie, aż do roku 1936, kiedy wyjechała do Brazylii.

Po przyjeździe do Brazylii i szybkim opanowaniu języka podjęła pracę jako asystentka w laboratorium psychologicznym Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu São Paulo, pod kierownictwem Noemy Silveira Rudolfer. Zaangażowana, następnie, do działu psychologicznego Szkoły Socjologii i Polityki prowadziła tam prace badawcze ze szczególnym uwzględnieniem psychologii reklamy. Od roku 1940 zatrudniona była w SENAI w



Prof. ANIELA GINSBERG

poradnictwie zawodowym i niezależnie od tego w Instytucie Organizacji Pracy IDORT w poradni psychotechnicznej.

W roku 1947 prof. Aniela Ginsberg przeniosła się do Salvadoru, wykładając przez jeden rok akademicki na wydziale filozofii tamtejszego uniwersytetu. W latach 1948-49 zajmowała stanowisko technika poradnictwa zawodowego w Instytucie Orientacji i Selekcji Zawodowej w Rio de Janeiro.

Od roku 1949 przebywa stale w São Paulo. W roku 1952 zaproszona została do Ośrodka Orientacji Psychologicznej Instytutu Psychologii Uniwersytetu Katolickiego w São Paulo i pracowała tam pod kierownictwem dr. Enzo Azzi. Od roku 1956 zaczęła wyklądać jako profesor nadzwyczajny na wydziale filozofii São Bento Uniwersytetu Katolickiego w São Paulo początkowo na kursie dla szkolnych doradców zawodowych, a potem na kursie specjalistycznym z zakresu psychologii stosowanej, objerając jako przedmiot technikę badań psychologicznych.

W roku 1959 obejmuje stanowisko wicedyrektora Kliniki Psychologicznej. Klinika ta, będąc ośrodkiem klinicznym uniwersyteckim dla kursów specjalistycznych, prowadzi poza tym poradnictwo dla dzieci trudnych i niedorozwiniętych, udziela porad zawodowowychowawczych i wreszcie przeprowadza badania osobowości dla lekarzy psychiatrów. Przy klinice istnieją następujące działy: terapia za pośrednictwem pracy, terapia za pośrednictwem zabawy, leczenie wad wymowy, psychoterapia dla młodzieży, psychoterapia zbiorowa.

Prof. Aniela Ginsberg jest autorem 23 prac naukowych. Obecnie kończy dzieło pt.: "Badania nad problemem adaptacji emigrantów do nowego otoczenia".

(sh)

ROZMAITOŚCI Z SÃO PAULO

ODCZYT O SZTUCE WSPÓŁCZESNEJ

Dnia 26 września br. w salonach Klubu 44 znany krytyk artystyczny, członek jury VI Biennale w São Paulo, Ryszard Stanisławski, podzielił się swymi spostrzeżeniami na temat nowych prądów artystycznych w Polsce.

Prelegent omówił organizację szkolnictwa artystycznego w Polsce oraz stan materialny artystów polskich. Zgodnie ze słowami prelegenta mieszka obecnie w kraju ponad 4.000 artystów, zrzeszonych w Związku Artystów. Większość z nich nie jest w stanie utrzymać się wyłącznie z pracy artystycznej i musi zarabiać na życie w innych dziedzinach.

Bardzo ciekawe uwagi wypowiedział prelegent o źródłach współczesnej sztuki w Polsce, kierunkach artystycznych oraz o znaczeniu i roli sztuki abstrakcyjnej.

Licznie zebrana publiczność zgotowała p. Stanisławskiemu serdeczne przyjęcie.

ODBUDOWA WARSZAWY

Dnia 19 sierpnia br. wiceprezes Stowarzyszenia Urbanistów Polskich arch. Stanisław Wyganowski wygłosił w Klubie 44 odczyt na temat odbudowy Warszawy.

Świetnie wypowiedziany odczyt spotkał się z dużym zainteresowaniem publiczności, wśród której znajdowali się liczni architekci polscy zamieszkałi w São Paulo.

POLSKA GRAFIKA W SÃO PAULO

Na tegorocznym Biennale w São Paulo polska plastyka reprezentowana jest wyłącznie prawie przez grafików. W pawilonie polskim znajdują się prace Haliny Chrostowskiej, Józefa Gielniaka, Lucjana Mianowskiego, Jerzego Panka, Stefana Suberlaka,

Jerzego Wejmana i Stanisława Wójtowicza. Każdy z tych artystów przysłał na wystawę mniej więcej po dziesięć grafik.

Osobno w dziale rysunku Polska wystawiła bogaty wybór prac Tadeusza Kulisiewicza z jego cyklu meksykańskiego. Jak wiadomo za te prace artysta uzyskał na Biennale wielką nagrodę.

Jedynym malarzem polskim, którego dzieła wystawione są poza konkursem, jest zmarła przed dwoma laty Maria Jaremińska. Kilkanaście jej prac pokazanych na Biennale urzeka świeżością barw i faktury.

W pawilonie brazylijskim Biennale wystawiono m. in. prace artysty malarza Anatola Władysława, Polaka zamieszkałego w Brazylii. Artysta uzyskał na Biennale wielką nagrodę, w dziale rysunku.

Szczegółowe sprawozdanie z Biennale podamy w następnym numerze naszego pisma.

TANCERKA POLSKA W SÃO PAULO

Przy wyprzedanej do ostatniego miejsca widowni odbył się dnia 26 września w teatrze Record w S. Paulo występ laureatek konkursu tanecznego w Rio de Janeiro Marty Dotnerowej, Cecylii Botto i primabaleriny Opery Bałtyckiej, Alicji Boniuszko.

Występ naszej tancerki spotkał się z gorącym przyjęciem ze strony publiczności i krytyki.

Estado de São Paulo w numerze z dnia 27 września br. pisze, że Alicja Boniuszko dała się poznać z jak najlepszej strony w tańcach modernistycznych odpowiadających najlepiej jej temperamentowi. Była natomiast zaledwie zadowolająca w Mazurku Kurpińskiego.

(Dokończenie na str. 22-iej)

Rozmaitości Z SÃO PAULO

(Dokończenie ze str. 21-ej)

POLKIE FILMY NA EKRANACH W SÃO PAULO

W najbliższym czasie zobaczymy w kinach São Paulo dwa filmy polskie: *Zamach* i *Baza ludzi umarłych*.

Film: "Zamach" stanowi relację filmową znanego zamachu na szefa policji niemieckiej w Warszawie, Kutcherę. W filmie odano z drobiazgową dokładnością atmosferę okupacji w Warszawie, bohaterstwo żołnierzy Armii Podziemnej, miłość i poświęcenie. Dramatyczna akcja trzyma uwagę widza w napięciu aż do ostatniej sekwencji filmu.

"Baza ludzi umarłych" to film przypominający w założeniu "Cenę strachu" Clouzota. W zapadłym zakątku Bieszczad pięciu kierowców, pięć odmiennych typów ludzkich, zajmuje się przewozem drewna z lasu do bazy drzewnej. Praca to niebezpieczna, w każdej chwili na oślizgłych drogach górskich grozi wozom katastrofa. Film opowiada o tragicznych losach tych ludzi, kierownika bazy Zabawy i jego romantycznej żony, — Wandy.

JUBILEUSZ PIĘTNASTOLECIA PRACY PISARSKIEJ

Nasza koleżanka redakcyjna, Mira Sławińska, obchodziła niedawno skromny jubileusz piętnastolecia pracy pisarskiej. Pierwszy utwór Miry Sławińskiej ukazał się w "Głosie Żołnierza" dnia 14 sierpnia 1946 r.

Pisarka wykańcza obecnie powieść pod tymczasowym tytułem "Szabesgojka" i przygotowuje do druku tom nowel.



Prezes "Klubu 44" - Jan Niklewski

KLUB 44 NA ROZDROŻU

Jak pisaliśmy już w innym miejscu naszego pisma Klub 44 znalazł się w bardzo trudnej sytuacji finansowej.

Klub liczy w tej chwili 300 członków (467 osób), płacących Cr\$ 120 tys. miesięcznie, a minimalne wydatki miesięczne wynoszą Cr\$ 160 tys. Deficyt pokrywała dotychczas gra w karty, przynosząca miesięcznie po pokryciu kosztów Cr\$ 50 tys. Dekret prez. Jania Quadros, zabraniający uprawiania gry w karty w klubach nie posiadających własnych siedzib, zachwiał równowagą budżetową

Klubu. Przed Klubem stała alternatywa: albo zakupić siedzibę własną, albo podwyższyć i to znacznie składkę członkowską. Jest i inna jeszcze alternatywa: zamknąć Klub.

Dnia 29 września b. r. odbyło się nadzwyczajne walne zebranie członków Klubu, na którym miała być poddana pod głosowanie sprawa zmian statutu w celu umożliwienia rozpisania tytułów własności siedziby Klubu. Zgodnie z projektem Zarządu Klubu ma być rozpisanych 600 udziałów, przy czym tytuł zasadniczy wynosić ma Cr\$ 25 tys. przy wpłacie w wysokości 30%, reszta należności ma być rozłożona na trzyletnie spłaty. Głosowanie nad projektem nie doszło do skutku z powodu braku quorum. Następne po-

siedzenie w tej sprawie odbędzie się dnia 10 października.

KSIAŻKA POLSKA W BRAZYLII

Na tegorocznym Biennale w São Paulo wydawnictwa polskie znalazły się po raz pierwszy. Ekspozycja polska obejmuje około 50 tytułów; są to najbardziej reprezentacyjne pozycje nagrodzone i wyróżnione w konkursie na najładniej wydaną książkę, organizowanym niedawno przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek. Publiczności brazylijskiej zaprezentowano albumy, wydawnictwa dziecięce w pięknej szacie graficznej i książki beletrystyczne.

Refleksje po rodzimych oddźwiękach

W sierpniu b. r. gościł w Brazylii nasz miły znajomy jeszcze sprzed wojny — Mieczysław Fogg. Występami w Rio de Janeiro, São Paulo, Kurytybie, Ponta Grossa i ponownie w São Paulo wyrównał on swój dług artysty wobec starych i nowych emigrantów polskich na tym terenie. Brazylią była bowiem jedynym krajem zamorskim, którego Fogg dotąd nie zwiedził i w którym nie dał się jeszcze usłyszeć obywateli nie zagnań! I to po parę, po kilkanaście razy. Świadczy temu niezwykle oryginalne trofea zebrane po świecie, niektóre z nich pochodzące z zakątków, o jakich nawet nam się nie śniło, i do których docierał wszelkimi możliwymi i niemożliwymi środkami lokomocji.

A przecież zdążył już miły pan Fogg wyjść z lat harcerskich, nie tak dawno święcił trzydziestolecie swej pracy artystycznej i, jak sam wszem i wobec z dumą ogłasza jest już parokrotnym dziadkiem. Natomiast nam wydaje się, że to tak niedawno widzieliśmy go na letniej scenie kawiarni ogrodu Dakowskiego w Warszawie jeszcze jako członka niezapomnianego Chóru Dana, z którym wziął rozbrat w roku 1938, by już sam niepodzielnie zbierać laury po świecie.

Mieczysław Fogg nigdy nie aspirował do pozycji śpiewaka klasy Carusa, ale jego niezwykle fonogeniczny głos i ujarzmiający wdzięk pasował go bezsprzecznie na księcia polskiej "chanson", której lekkiej, romantyczny charakter najkorzystniej wypadł na scenie mniejszej, kameralnie, w radio.

Był to głos, który od razu brał w jasyr serca niewieście. Gdy śpiewał Fogg, nie było w całej Polsce pensjonarki, nauczycielki, ekspedientki, gosposi, robotnicy czy "burżujki", które nie uzrekały by aksamiłna pieczęta tkliwego, męskiego poszeptu, idącego z głośnika:

... kochana... kochana... kochana...
Istny miód pity uszami.

To też przyjazd popularnego piosenkarza, mimowolnego świadka naszej minionej młodości przyjeźliśmy z radością i ze wzruszeniem, ale i nie bez szczypty ciekawości: jak też nasz Fogg teraz może wyglądać, co i jak zaśpiewa?

Wielu z nas widziało go po raz ostatni w okresie okupacji w jego własnej kawiarence przy ulicy Marszałkowskiej. Uwijał się tam miły gospodarz zawsze i pomimo wszystko uśmiechnięty i — niezmienny. Ale to miało miejsce dokładnie dwa dziesiątki lat temu...

— Vinte anos é um grande tempo. Modela qualquer imagem — powtarzałam sobie w drodze na koncert Fogg'a słowa brazylijskiego poety, z góry broniąc się



Mieczysław Fogg

jak by przed ewentualnym rozczarowaniem. A tymczasem — na scenę Klubu 44 wbiegł pan Mieczysław Fogg z lekkością dawnego Micia i z dezynwolturą, z jaką strzepuje się pyłek z kłapy, zdmuchnął z mapy Atlantyk. I choć posiwiał mu włos i ciut-ciut głos, z niezmiennym blaskiem oczu i werwą studenta, rozwinął przed nami swój szeroki wachlarz piosenek starych i nowych, przeplatając je aktualnymi dowcipami z Kraju.

Przeniesieni w wyobraźni do Polski, zapomnieliśmy o tropikalnym upale, jaki tego dnia szczególnie uwziął się na São Paulo. Znikły łysinki, brzuszek, nerwobóle, zgagi. Byliśmy znowu młodzi. Pod nogami chrzęścił biały śnieg, śmigły sennie, to znów powiało maciejką o zmroku i słowiańsko rozmarzeni tańczyliśmy w ramionach pierwszej "sympatii" rzewne tango Milonga.

Ale jak nas piosenką Fogg ululał do marzeń, tak piosenką i zbudził. Tą samą, która posłużyła za motto jubileuszowemu "longplayowi", nagraniem w Kraju z najulubieńszymi przebojami z repertuaru śpiewaka: "Co nam zostało z tych lat miłości pierwszej?"

Zapaliło się światło i zrobiło nam się smutno. Tak niedawno byliśmy młodzi, zgrabni, kędzierzawi. I — rzeczywiście — co nam zostało z tych lat?

Tylko jeszcze uroda.

M. L. S.

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH

POWAŻNY ROZWÓJ GDAŃSKIEGO

PRZEMYSŁU

Ponad 25-miliardowe inwestycje w ciągu powojennych szesnastu lat umożliwiły zmianę struktury ekonomicznej woj. gdańskiego, wysuwając na czoło dwie poważnie rozbudowane gałęzie gospodarki — przemysł maszynowo-metalowy, obejmujący przemysł stoczniowy i dający prawie 32 proc. globalnej produkcji całego przemysłu w woj. gdańskim oraz przemysł spożywczy — 46,3 proc. Główny potencjał przemysłowy województwa znajduje się wprawdzie nadal w Trójmieście Gdańsk - Sopot - Gdynia, ale w ciągu 15 lat uprzemysłowionych zostało wiele gospodarstwo zaniedbanych powiatów i małych miasteczek jak np. Gniew, Rumia, Dzierżoń. Rozwinięto przemysł przetwórczo-rybny w pow. puckim. Znaczący wzrost uprzemysłowienia nastąpił także w powiatach wejherowskim, starogardzkim, lęborskim, malborskim i innych. — (ZAP).

DLA OKA I DLA ZDROWIA

Na terenie woj. szczecińskiego posadzono podczas akcji zadrzewiania ok. 50 tys. krzewów róży fałdzistolistnej. Gatunek ten, który daje owoce dużych rozmiarów i o znacznej zawartości witaminy C, dostarczą poszukiwanego na rynku surowca dla przemysłu farmaceutycznego. Poza różą posadzono również 25 tys. krzewów morwy, niezbędnej dla hodowli jedwabników. W tegorocznej jesiennej akcji zadrzewień zasadzi się jeszcze dal-

sze 100 tys. krzewów morwy i ok. 10 tys. magnolii. Te ostatnie ozdobią skwery i zielone miast pomorskich. — (ZAP).

MUZYKA NA POMORZU

Podczas odnalezionych w czasie licznych badań archeologicznych na Pomorzu przedmiotów znajduje się sporo instrumentów muzycznych należących ongiś do Słowian. M. in. znaleziono pałeczkę wyciętą z jednego kawałka drewna świadcząca o używaniu instrumentów perkusyjnych, następnie artystycznie wykonane grzechotki o różnych kształtach, z grup zaś instrumentów dętych rogi, kościane gwizdki, fujarki na kilka tonów.

Najstarszą wiadomość o strunowych instrumentach słowiańskich zamieszcza pisarz bizantyjski z VII wieku Teofilakt Simokates. Opisuje on, że przed rokiem 591 trzech Słowian znad Bałtyku w czasie poselstwa do chana awarskiego niosło ze sobą "liry czy też lutnie".

Rozkwit muzyki i sztuki na Pomorzu przypada jednak dopiero w XV wieku na czasy księcia Bogusława X. W XVI wieku dwór szczeciński słynął z dworskiej kapeli i oddziału fanfarzystów, którzy występowali z racji uroczystości państwowych. Na dworze szczecińskim przyjął się również zwyczaj występowań solistów lutników, harfistów i śpiewaków różnych narodowości. Oprócz muzyki dworskiej uprawiano szeroko muzykę kościelną. Był nawet zwyczaj, że szkoła książęca w Szczecinie musiała dostarczać co roku najmniej 10 chłopców, którzy śpiewali w chórze zamkowym. — (ZAP).



WAŁBRZYCH. Dom pod Kotwicą na Starym Rynku.

Rysował Wiktor Reiff.

Co nowego w przemyśle krajowym

MODERNIZACJA I REKONSTRUKCJA KOLEI

Zgodnie z oświadczeniem władz kolejowych co roku będzie się elektryfikować w Polsce po ok. 200 km. linii. Dzięki temu w 1965 roku łączna ich długość wyniesie ok. 2 tys. km. (t. j. 9 proc. ogólnej długości sieci kolejowej). W dalszym ciągu elektryfikowane będą linie, na których ruch jest największy: z Krakowa do granicznej stacji przeładunkowej w Medyce, z Kutna do Poznania, z Katowic do Zebrzydowic i z Wrocławia do Wałbrzycha oraz niektóre odcinki w rejonie śląska, Warszawy i Łodzi.

Na zelektryfikowanych liniach podmiejskich kursują już jednostki elektryczne o szybkości 100 - 110 km. na godz., a w ruchu dalekobieżnym — lokomotywy elektryczne o szybkości od 100 do 125 km. na godz. — Część tego taboru — to import ze Szwecji, NRD i CSRS. Po opanowaniu produkcji lokomotyw towarowych "CO-CO" i trójwagonywanych jednostek elektrycznych, krajowy przemysł podejmuje obecnie produkcję uniwersalnych szybkich lokomo-

tyw "BO-BO" w oparciu o licencję, zakupioną w Anglii.

Szybkość handlowa pociągów pasażerskich na liniach zelektryfikowanych wzrosła w stosunku do pociągów parowych o 35 do 50 proc. przy jednoczesnym zwiększeniu liczby przysiółków na liniach podmiejskich o ok. 30 proc. (np. w okręgu warszawskim).

Natomiast tempo wprowadzania w kolejnictwie polskim trakcji spalinowej jest jeszcze zbyt powolne.

Niemniej w ciągu najbliższych 4 lat wprowadzi się do eksploatacji 300 wagonów i ok. 400 lokomotyw motorowych, głównie z importu. Wtedy tabor spalinowy wykonywać będzie ponad 17 proc. przewozów pasażerskich oraz 33 proc. prac manewrowych na stacjach węzłowych.

Za dwa lata mają się ukazać na PKP pierwsze nowe wagony I i II klasy. Dłuższe będą od dotychczasowych o 2,5 m. dzięki czemu przedziały staną się przestronniejsze; wentylacja i

ogrzewanie — nawiewne, kanały podzielone na ruchome i dające się odchyłać segmenty, wykładziny z tworzyw sztucznych,

wreszcie nowoczesny typ wózków nośnych i hamulców — pozwalających na rozwijanie szybkości ponad 140 km. na godz.

PUŁAWY — MIASTEM 40 TYS. MIESZKAŃCÓW Rozpoczęto budowę kombinatu azotowego

Przez leśne bezdroża wytyczono dojazdowe szlaki. Na wielki plac budowy jadą już ciężarówki. Po wstępnych przygotowaniach — rozpoczęto pierwsze roboty przy wznoszeniu obiektów kombinatu nawozów sztucznych, który powstanie pod Puławami.

Puławskie "Azoty" — piąty tego rodzaju zakład w kraju po Kędzierzynie, Chorzowie, Kurowie i Mościcach — już w 1965 roku produkować będą ok. 200 tys. ton nawozów azotowych. W drugim etapie — w roku 1968 — osiągnięta zostanie pełna moc produkcyjna — około 330 tys. ton nawozów azotowych rocznie. Będzie to więcej niż wytwarzają obecnie wszystkie krajowe zakłady razem wzięte.

Puławski kombinat — projektowany przez polskich specjalistów pod kierownictwem prof. Stanisława Huepscha — pracować będzie w oparciu o dostawy gazu ziemnego doprowadzanego rurociągiem. Produkcja nawozów azotowych z gazu ziemnego jest o co najmniej 30 procent tańsza niż np. przy przeróbce koksu.

Ale Puławy, to nie tylko nawozy. W drugim i trzecim etapie budowy — obejmujących okres do roku 1970 — w kombinacie powstaną fabryki amoniaku, acetyleny, tworzyw winylowych, polichloru winylu. Przewiduje się np. że w roku 1970 krajowa produkcja polichloru winylu sięgnie 200 tysięcy ton — z czego ok. 100 tys. ton wytwarzać się będzie z gazu ziemnego w Puławach.

STRONICA PARAŃSKA

SZLAKIEM POLSKIEGO WYCHODŹCY W DOM FELICIANO

Wysokie i ciężkie "carety" (careta — dwukółka) ciągnięte przez powolne woły zatrzymały się wreszcie i natychmiast umilkło skrzypienie drewnianych osi. Przedwieczorna cisza wdarła się do uszu zdziwionych ludzi i jakby ich zaskoczyła. Przez tyle dni towarzyszył im ten niemile drażniący skrzyp, wydający się jakby drwiną i naigrywaniem z ich losu, iż niekiedy wyobrażali sobie, że musi się ciągnąć za nimi chyba już do końca żywota.

Postój ten był ostatni w długiej drodze, ciągnącej się od samego Porto Alegre. Po przeszło dwustu kilometrach drogi, którą częściowo przebyli łodzią na rzece Guaiba, dobijali oto do kresu wędrówki. Najęci woźnice, z którymi trudno im było się porozumieć, wykładali z jarzm zwierzęta i puszczali je na trawę, podczas gdy grupa wychodźców grzebała w licznych tobołach, czyniąc przygotowania do ugotowania posiłku i rozłożenia noclegu.

Dzieci biegały naokoło z gwarem i śmiechami, obojętne na obcość otoczenia i nawoływania matek, ostrzegających przed jadowitym robactwem. W podróży bowiem natknęli się kilkakrotnie na długie sznury żmij i one właśnie nastroiły bojaźliwie wszystkie kobiety.

Ponad okoliczne zarośla, dzikie, splecione i niedostępne, wystrzelały tu i ówdzie wysokie, ciężkie i poważne parasole piniorów. Ku nim biegły nieufne spojrzenia mężczyzn.

— To nie nasza sosna — mruknął wreszcie jeden z nich. — Zalatuje wprawdzie żywica, ale to nie to. Sosna ma długie miękkie igły, a to popatrzcie! Krótkie, sztywne kolce. Ani się dotknąć tego diabelstwa, ani nic!...

— Dzicz naokoło, że strach.

— Jak tu człek wytrzyma?...

Z tym pytaniem wszyscy kładli się spać pod niskim, rozłożystym drzewem, o drobnych suchych listkach, syjących się na ich głowy jak lekki pył. Opuścili podgórskie wioski w krakowskim i rozległe równiny lubelsko-mazowieckie, przebyli straszny ocean gdzie strach przez całą podróż dawił ich za gardło, aż wreszcie znaleźli się między ludźmi obcymi, aby się tu osiedlić i wypracować nowy chleb. Jaki on będzie, gdy naokoło obco, i dziko i strasznie?...

Twarda jest wola chłopca polskiego

Jeśli noc sprzyja wszelkiego rodzaju rozmyślanom budzącym uczucia niepokoju, strachu czy żalu, to wstający dzień polskiego wychodźcy rzuconego do Brazylii żadną miarą nie pozwala na podobne dywagacje. Czas ten jest cenny i musi być wykorzystany od kranca aż po kraniec, celowo i z pożytkiem. Ponieważ już tu przybyli, więc trudno, stało się, nie odstanie. Przynajmniej na razie. Ręce tych ludzi są zdrowe i, po tylu miesiącach rozleniwiającej podróży spragnione, wprost chciwe pracy. Same wyciągają się do siekier i jak magnesem ciągną człowieka do lasu. Oczy rozglądają się naokoło, zatrzymują na chwilę i już każdy wie co, jak i gdzie. Tu będzie chata i jakieś szopy na dobytek, a tam dalej zagroda dla świń i wreszcie — pole! Do roboty!...

Wieczorami, jak zwykle, ludzie się mar-

twią, planują, straszą nawzajem i wspólnie poczekają. Ale w dzień praca idzie aż huk naokoło się rozlega. Pot zalewa nieustannie oczy, ręce mdleją od nadmiernego wysiłku, nocami kości mdleją od trudu, ale przecie chłop polski wżarł się w puszcę jak kornik w zdrowe drzewo i zwolna, uparcie, nieustannie zagłębia się w zieloną otchłań dziewiczej puszczy, tępi roślinność i pustoszy krainę wiecznie żywej roślinności, rujnuje królestwo rozjazgotanego pactwa.

Wreszcie przyszedł moment, kiedy rzucony płomyk chciwie przypiął się do suchego listowia, napęczniał i buchnął triumfalnie do góry, jak gromki krzyk zwycięstwa. W mgnieniu oka rozlało się morze ognia i objęło w niszczycielskie posiadanie zwałoną puszcę...

I tak przez wiele miesięcy, przez wiele lat. Wyrosły domy, otoczyły się płotami i zabrzmięło w nich życie ludzi i zwierząt. Pola, olbrzymie pola, zazieleniły się kukurydzą, ryżem, fizonem (fasolą), batatami...

Życie na kolonii

Jest ono proste i jednostajne, jak każdy dzień roku. Cykl powtarza się rok rocznie, niezmiennie i obowiązkowo. Dzień służy pracy, noc odpoczynkowi. Z każdą wiosną ludzie wychodzą na pole z motykami, pługiem czy radłem. Sadzą kukurydzę, fizon, ryż, mandiokę, sieją pszenicę, alfagę, uprawiają len, alpiście itp. Przez całe lato trzeba tego doglądać, oczyszczać z chwastów, pilnować by mrówki nie wycięły i inne robactwo nie zniszczyło. Czasem, ale to już rzadziej, należy obserwować niebo, czy chmury szarańczy nie nadciągają. Z końcem lata i początkiem jesieni (styczeń - marzec) ludzie przystępują do żniw. Gromadzą zapasy dla siebie, bydła i trzody chlewniej. Zimą przychodzą deszcze, długie po kilka tygodni trwające ulewę, przepłataną przymrozkami, raz silniejszymi raz słabszymi... I później — to samo od początku.

Sama praca polskim osadnikom już nie wystarcza. Czegoś jeszcze im brakuje do pełnego zadowolenia, mimo że chodzą do siebie na pogawędki i zwierają się ze swych trosk i nadziei. Dzieci rosną zdrowo, ale — jakby dziczeją. Żadne z nich nie umie czytać, a przecież należało by nauczyć je także pisanie i rachowania.

Polskie chłopcy na obczyźnie trzymają się kupy i wspólnie podejmują ważniejsze decyzje. Tak więc na skutek wzajemnego porozumienia powstaje na Dom Feliciano pierwsze polskie towarzystwo, którego założycielami są, dotychczas żyjący, Karol Muszyński, Aleksander Stawski i bracia Janowikowie. Ponieważ są to ludzie rozgarnięci, a zatem rozumiejący dobrodziejstwa oświaty, towarzystwo otrzymuje nazwę "Postęp" i w jego lokalu zostaje otwarta pierwsza polsko-brazylijska szkółka dla miejscowej dziatwy. Zdarzenie to miało miejsce w 1912 roku.

Uczenie dziatwy nie wystarczało jednak ofiarnemu nauczycielowi. Zorganizował biblioteczkę, dobrał trochę młodzieży, jakimś cudem sprowadził sztuczki sceniczne i przystąpił do urządzania przedstawień amatorskich. Ludziom się to bardzo podobało i tak więc powstało na kolonii Dom Feliciano życie kulturalne. Trwało ono długie lata, bo aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Dom Feliciano dziś

Obecnie jest to już spore miasteczko, posiadające własnych kupców, rzemieślników i urzędników pochodzących z miejscowego społeczeństwa, nieźle mówiących po polsku. Hotel należy do Stefana Górskiego, sklepy do: Józefa Janowika, Czesława Bystronkiewicza, Kazimierza Przybysza, J. Stachowicza. Zakład stolarski znajduje się w rękach braci Cieślowskich, szewski należy do M. Niemczewskiego, krawcami zaś są Antoni Choński i Saturnin Bukowski. Ruchliwy i utalentowany śpiewak Florian Zaleski cieszy się powszechnym uznaniem. W takich okolicznych koloniach jak: Felipe Noronha, Evaristo Teixeira, Federal, Leoponetto i innych uczą w brazylijskich szkołach nauczycielki polskiego pochodzenia, córki miejscowych kolonistów.

Jest tu kościół obsługiwany przez księży niedawno przybyłych z Polski. Są to ks. St. Nowak i ks. St. Rudnowski. Z miejsca włączyli się do miejscowego życia społecznego i poprzez pielegnowanie polskich tradycji pozyskali sobie powszechny szacunek. Szpitalem opiekują się SS. Bernardynki, także pochodzenia polskiego.

W Dom Feliciano i najbliższej okolicy mieszka przeszło 180 rodzin polskich. Dawniej było ich tu o wiele więcej, obecnie rozproszyli się w poszukiwaniu nowych warunków życia. Wpływ miejscowej Polonii jest tak silny na mieszkających tu rodowitych Brazylijczyków i Włochów, że wielu z nich nieźle posługuje się polskim językiem. Często zdarzają się mieszane małżeństwa i na każdym weselu gromadzą się różnojęzyczni goście. Wesela jednak odbywają się według polskich tradycji. A więc muszą być ocepiny z całym ceremoniałem i przewożyny do domu państwa młodych. W wielu wypadkach wesela trwają całe trzy dni. Mimo że nadużywanie alkoholu jest nagminne, tragiczne wypadki zdarzają się coraz rzadziej.

Ludzie w kościele śpiewają po polsku, a w towarzystwie obchodzą uroczystości narodowe i polskie i brazylijskie. Przy towarzystwie organizuje się obecnie biblioteka polska i sala projekcyjna. Pierwszym filmem pokazanym miejscowym widzom ma być film, obrazujący osiągnięcia Polski.

Jan Krawczyk.

Lekarz Społecznik

Prawie cała Parana go zna. Średniego wzrostu, nerwowy, sprawia wrażenie przepracowanego. Kiedy mówi wydaje się, że jednocześnie myśli o czymś innym. Dzień życia pomiędzy ciężkie zajęcia zawodowe lekarza i pracę społeczną, absorbującą mu resztę dnia.

Dr. Edwin Tempski.

Jego zainteresowania są wszechstronne.

Jako lekarz, wychowanek Uniwersytetu Parańskiego, poświęcił się leczeniu chorób wewnętrznych. Przez dziesięć lat pełnił obowiązki adiunkta przy katedrze chorób wewnętrznych Uniwersytetu Parańskiego. Pracował też w Polsce w szpitalu św. Ducha w Warszawie jako hospitant u prof. Goreckiego. W uzyskaniu tytułu docenta i karierze naukowej przeszkodziły mu zainteresowania społeczne.

Jako polityk jest członkiem partii narodowo-demokratycznej (UDN). Kandydując z ramienia tej partii wybrany został radnym m. Kurytyby w roku 1946. Następnie, w la-

tach 1950-58 pełnił obowiązki posła w izbie ustawodawczej parańskiej, będąc przez pewien czas wice-przewodniczącym tej izby. Obecnie jest honorowym przewodniczącym UDN w Paranie.

Jako społecznik pracował ofiarnie w organizacjach polskich w Kurytybie i Ponta Grossa.



Dr. Edwin Tempki

Był prezesem Towarzystwa União Juventus, gdzie położył duże zasługi przy rozbudowie stadionu sportowego i ożywieniu życia organizacyjnego. Odznaczony za działalność społeczną krzyżem oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, oraz tytułem bene merito za działalność na rzecz ofiar wojny w Polsce w latach 1939 - 45.

W wolnych chwilach ma jeszcze siły i chęć na zajmowanie się zagadnieniami nie mającymi nic wspólnego z pracą zawodową i społeczno-polityczną. Prowadzi, mianowicie, prace naukowo-badawcze w dziedzinie krzyżowania roślin drogą asymbiotyczną (sztuczne zapładnianie). Zamiłowany hodowca storczyków wyprodukował kilka ciekawych hybrydów orchidei. Niezależnie od tego bierze czynny udział w pracach Rady Stanowej Parańskiej do Spraw Ochrony Przyrody. W r. 1956 zorganizował i prowadzi Instytut Historii Naturalnej Parany.

Pytamy dr. Tempkiego co sądzi o obecnej sytuacji gospodarczej Parany.

— Na obecną sytuację gospodarczą Parany i całej Brazylii — mówi dr. Tempki — zapatruję się krytycznie.

Standard życiowy narodu szacujemy obecnie na podstawie zużytych przez ten naród w ciągu roku i na jednostkę kilowatów energii elektrycznej (Franklin Delano Roosevelt).

W Paranie i w Brazylii wycina się bezlitośnie i bez miary lasy, aby zaspokoić natychmiastowe interesy pewnych grup ekonomicznych. Lasy, jak wiadomo, karmią rzeki, a zatem stanowią o potęgę hydroelektrycznej kraju. Na skutek ślepej działalności człowieka rzeki brazylijskie zaczynają odczuwać pragnienie. Obniża się moc hydroelektryczna kraju do dziś wykorzystana w bardzo małym procencie.

Jeżeli w niektórych dużych miastach w Brazylii notuje się zużycie 150 - 200 kilowatów na jednostkę i na rok to istnieją obszary, gdzie przypada 0 kw. na jednostkę demograficzną. Jest to wynik marnotrawnego i egoistycznego działania określonych grup gospodarczych, dążących do osiągnięcia doraźnych zysków bez oglądania się na przyszłość. W erze atomowej w Brazylii na olbrzymich przestrzeniach panuje jeszcze okres naftowy albo skromnej świecy woskowej, a nie-raz i tej brakuje.

Jak myśleć o rozwoju przemysłu w kraju, posiadającym niezmiernie bogactwa zarówno na powierzchni ziemi, jak i w jej głębinach, jeżeli brak mu potężnej dźwigni energetycznej niezbędnej dla tego rozwoju.

Równie pesymistycznie oceniam także stan rolnictwa w Brazylii. Jest to rolnictwo oparte na prymitywnych narzędziach i nie mniej prymitywnych metodach pracy. Rolnik wypala lasy, wyjaławia ziemię, a plony

osiąga marne poniżej wszelkich osiągnięć światowych. Jeżeli nie chcemy aby żyzna niegdyś ziemia brazylijska zamieniła się w pustynię musimy pomyśleć szybko o środkach zaradczych, o wprowadzeniu bardziej intensywnych i nowoczesnych środków uprawy, a przede wszystkim o samym rolniku brazylijskim żyjącym na niestłuchanie niskim poziomie życiowym i kulturalnym.

Seweryn Hartman

CIDADE SORRISO

Stolica Parany, Kurytyba, posiada stary przydomek CIDADE SORRISO — miasto uśmiechu i w zupełności na ten przydomek zasługuje, stając się z każdym dniem bogatszą i piękniejszą.

Wiemy z historii, że wielkorządca kapitanii parańskiej z siedzibą w Parana-guá, Gabriel Lara, podniósł w r. 1693 ubogą osadę Kurytybę do rangi wili. Jednocześnie mianował Mateusza Martinsa Leme povoadorem, czyli administratorem kolonizacji tej okolicy. Leme przywiódł spory zastęp pierwszych białych osadników. Wybrano go pierwszym wójtem willi kurytybskiej.

Dnia 5 lutego 1848 r. otrzymała Kurytyba tytuł miasta, a dekretem z dn. 25 lipca 1954 r. przemianowano ją na stolicę nowoorganizującej się prowincji, późniejszego stanu Paraná.

W czasie przyjmowania godności stolicy Kurytyba liczyła 5.819 mieszkańców i 308 domów, w tym większość drewnianych, 2 szkoły podstawowe, 38 sklepików z odzieżą i sprzętem kuchennym, 35 sklepików spożywczych, 3 zakłady jubilerskie, 10 cegielni, 5 kuźni, 2 warsztaty stolarskie, 1 zakład rymarski, 6 — krawieckich, 9 — szewskich, 3 — zakłady rzeźniczo-wędliniarskie, 1 piekarnię, 15 młynów herwowych i 13 hodowli bydła, świń i ptactwa domowego. Ogółem 802 mieszkańców trudniło się rolnictwem i warzywnictwem, zaś 99 — handlem.

Kurytyba pierwsza w historii emigracji polskiej w Paranie przyciągnęła wychodźców polskich, przywiezionych w r. 1871 przez Sebastiana Edmunda Wosia Saporckiego. Wielu z wychodźców polskich przyczyniło się do wzrostu piękna i bogactwa Kurytyby, wielu pozostało na jej obszarach, wnosząc wkład do skarbcza kultury i gospodarki stolicy Parany, inni osiedlili się w okolicznych stepach i dalekich puszczech.

Przed dwudziestu zaledwie laty Kurytyba była niewielkim prowincjonalnym miastem. Na wąskich uliczkach chyliło się jeszcze wiele niskich, drewnianych domków. Dziś budowle przeszło 300-tysięcznej Kurytyby wznoszą się do wysokości 30 pięter, polskując w nocy kolorowymi reklamami widocznymi w podmiejskich koloniach polskich — Pilarzinho, Abranches, Orleans, Candida, które za cesarskich czasów nazywały się po prostu — Nova Polonia.

Stolica Parany szczyci się wielowyzdłużonym uniwersytetem, którego współzałożycielami byli profesorowie polscy: dr. Szymon Kossobudzki, dr. Juliusz Szymański i dr. Gabriel Nowicki. Aule uniwersyteckie przysporzyły Paranie i Brazylii szereg polskich lekarzy, prawników, inżynierów, odontologów, farmaceutów i agronomów.

W Kurytybie czynnych jest szereg szkół średnich ogólnokształcących i zawodowych jak: Colegio Estadual, Instituto de Educação, szkoła rzemieślnicza i handlowa, gimnazja: São José, Novo Ateneu, Partenon, Santa Maria, Bom Jesus, Iguaçu i zakłady sióstr polskich.

W końcowym stadium budowy znaj-

duje się pierwszy w Kurytybie teatr municypalny "Guaira", przeznaczony dla 5.000 widzów. Teatr ten należy pod względem architektonicznym do najnowszych w Ameryce Łacińskiej.

Istnieje w Kurytybie wiele klubów kulturalnych, utrzymywanych przez różne narodowości, i ośrodki przyjaźni i kultury np. niemiecko-brazylijskiej, japońsko-brazylijskiej, angielsko-brazylijskiej. Polonia kurytybska nie zdobyła się dotychczas na instytucję podobnego typu, aczkolwiek nie brak w tym mieście inteligencji polonijnej, posiadającej dyplomy i stanowiska, atuty i możliwości.

Działają tu cztery towarzystwa polskie, posiadające własne gmachy: dawny Związek Polski (obecnie União Juventus), Towarzystwo im. J. Piłsudskiego, Tow. im. T. Kościuszki i dawny Centralny Związek Polaków w Brazylii (obecne Stowarzyszenie Dobroczynne Polskie). Wszystkie te stowarzyszenia przejawiają niktą działalność. Dawnemu Związkowi Polskiemu należy się uznanie za dostarczenie sali polskiej grupie folklorystycznej, liczącej obecnie około 100 członków, rekrutujących się spośród młodzieży polonijnej. Pod naciskiem skromnej grupy wymierających piniorów w trzech towarzystwach, z wyjątkiem CZP, wyświetla się czasami film polski. W jednym tylko Tow. im. T. Kościuszki urządzone są akademie ku czci wielkich Polaków.

Podczas, gdy Niemcy w dwóch swoich dawnych kolegiach uczą języka niemieckiego, my nie uczymy języka polskiego w żadnej szkole.

Mamy za to w Bibliotece Publicznej polski dział biblioteczny oraz płaskorzeźbę z wizerunkami Kopernika, Chopina, Mickiewicza i Skłodowskiej-Curie, a w teatrze Guaira popiersie Paderewskiego. Jest też w Kurytybie 6 ulic noszących nazwiska zasłużonych emigrantów: Hieronima Durskiego, Jana Falarza, Józefa Dembickiego, Józefa Domachowskiego, Józefa Kłosa i Jana Skalskiego. Jedna ze szkół rządowych posiada imię H. Durskiego. Ostatnio prefektura wyraziła gotowość ofiarowania kolonii polskiej placu, który ma się nazywać Praça da Polonia.

Kurytyba stanowiła kiedyś ośrodek polonijnego życia organizacyjnego i oświatowego w Brazylii. Wychodziły tu liczne gazety i książki polskie. Po upadku wielu czasopism ukazuje się w Kurytybie od r. 1920 zasłużony tygodnik "Lud".

Istniało w Kurytybie kolegium polskie im. H. Sienkiewicza, którego dyrektorem był Modest N. Falarz, pierwszy w Paranie deputowany polskiego pochodzenia. Mieliśmy jeszcze kilku deputowanych właśnie z Kurytyby, jak: dr. Ostoja Roguski, dr. Edwin Tempki, dr. Tadeusz Sobociński i obecnie inż. Władysław Lachowski. Mamy też kilku sędziów w Wyższym Sądzie Parańskim.

Piękna jest stolica Parany i dlatego zwie się CIDADE SORRISO.

WOJCIECH BREOWICZ

Wiadomości z Kraju

Najważniejsze wydarzenia

W okresie września i pierwszych dni października Kraj żył pod wrażeniem zaogniającej się międzynarodowej sytuacji politycznej.

Berlin nie jest przecież tak bardzo oddalony od obecnych granic Polski!

Nerwowość, związana z pogłoskami o wojnie, ogarnęła głównie Polskę centralną. Natomiast w Wielkopolsce, jak pisze "Życie Warszawy", ludzie zachowali spokój i umiar.

Jak to zwykle bywa część ludzi dała się ponieść nerwom. Zaczęło się masowe wykupywanie mąki, cukru i innych towarów żywnościowych. Spowodowało to dotkliwe trudności w zaopatrzeniu rodzin i w normalnym funkcjonowaniu gospodarstw domowych. Przed sklepami żywnościowymi potworzyły się kolejki. Stają już w nich teraz wszyscy, nie tylko ci, którzy poszli za owczym pędem. Sklepy wprowadziły racjonowanie zakupów mąki, i cukru i sprzedają tylko po kilogramie każdemu kupującemu. Ale to niewiele pomaga.

W tej sprawie uważał za konieczne zabrać głos minister handlu wewnętrznego, który

stwierdziwszy, że nigdy jeszcze dostawy na zaopatrzenie rynku nie były tak wielkie jak obecnie, oświadczył, że przyczyną trudności w detalu są nadmierne zakupy.

Warszawa, którą trudności aprowizacyjne dotknęły najwięcej, ma jeszcze inny powód do zdenerwowania. Zła sytuacja mieszkaniowa skłoniła władze do rewizji normy mieszkaniowej. Obecnie obowiązywać będzie w Warszawie norma do 7 m. kw. na osobę, co odpowiada ok. 11 m. kw. powierzchni użytkowej. Specjalne komisje, wyznaczone przez rady dzielnicowe, badają stan zagęszczenia mieszkań i wydają decyzje o dokwaterowaniu.

Ażeby zakończyć tę czarną listę trzeba jeszcze wspomnieć o zapłakany i zimnym lecie tegorocznym. Lało prawie bez przerwy, a temperatura w nocy w miesiącu lipcu spadała niekiedy do 8 lub 10 stopni powyżej zera. Były dni, kiedy najwyższa temperatura w południe nie przekraczała 14 stopni. Takiego lata najstarsi ludzie nie pamiętają. Było ono jeszcze chłodniejsze, niż zeszłoroczne. Uczony polski prof. Kosiba

TEGO NIGDY NIE ZAPOMNIMY

Przytaczamy z nr 28/61 Tygodnika Powszechnego wyjątek z pamiętnika oświęcimskiego Józefa Sztemiera:

Po południu wyrównywaliśmy dno rowu. Kilku przynosiło rury z szopy przy wznoszonej budowlu. Rury układano tuż przy wykopanym rowie.

Ktoś zwrócił uwagę, że wzdłuż rowu idzie obozowy kat, "czarny Scharführer". Podeszedł ku nam trzymając gumową pałkę w rękę.

Staś przyniósł właśnie długą, półtoracalową rurę i położył ją na ziemię tak, że końcem skierowała o sąsiednią.

— Czego ty rzucasz rurę? — wrzasnął "czarny".

Staś obrócił się frontem do niego, ale zapomniał zdjąć beret. "Czarny" doskoczył i silnym uderzeniem w głowę zwałił go na ziemię. Staś zerwał się i stanął na baczność. Powalił go drugi raz i bił pałą. Z ust chłopca wyrwał się głos pełen bólu:

— Ty morderco! — wykrzyknął.

Hitlerowiec bił bez przerwy.

— Boże, dusi go — jęknął ksiądz Zawadzki.

Działa się straszna, ohydna, nieludzka rzecz. Końcem lewego buta kat stał na szyi Stasia i dusił go, a pałą trzymaną w prawej ręce okładał po biodrach, żebrach i nogach.

Krew chlusnęła z ust bitego. Ksiądz klęczał w rowie i wypowiadał słowa rozgrzeszenia.

— Pracować! — ryczał "czarny". Zaślinił się. — Polskie świnie! Psy polskie. Buntownicy. Z każdym będzie to samo. My was nauczymy porządnie pracować. Odchodził. Zataczał się jak pijany.

Ksiądz Zawadzki wygramolił się z rowu, podpełznął do Stasia, rozpiął bluzę, koszulę i przyłożył ucho do piersi. Po chwili wyjął swoją chusteczkę i troskliwie ścierał mu krew z ust i twarzy. Palcami prawej ręki zamknął piękne, młode oczy. Na czworakach wracał do rowu. Pilnujący nas esesmani poodwracali się.



DZDZYSTY URLOP

twierdzi, że badając lodowce na wyspie Spitzbergen zauważył od czterech lat znaczny przyrost śniegu. Klimat się zmienia na północy Europy i to na gorsze. Niektórzy przypisują to wzmożonej aktywności słońca i towarzyszącemu tej aktywności występowaniu większej ilości plam słonecznych.

Dżdżyste lato nie tylko pomieszało szyki mieszczuchom, udającym się na urlop, ale w sposób katastrofalny odbiło się na zbiorach w północnej i północno-zachodniej części Polski. Zboże powalone przez ulewę wyległo i w wielu miejscowościach

trzeba je było sprzątać ręcznie. Ziarno porosło. Tylko okopowe wyszły obronną ręką z tych tarapatów, ale i one miały za dużo wilgoci. Ogólnie biorąc zbiór zbóż przy niższej jakości (z powodu częściowego porośnięcia) dorównuje zeszłorocznemu. Buraki cukrowe i ziemniaki obrodziły nieco gorzej, niż w zeszłym roku, ale z powodu zwiększenia powierzchni upraw buraków produkcja cukru powinna przewyższyć zeszłoroczną. — Przemysł cukrowniczy przewiduje wyprodukowanie ponad 1.100 tys. ton cukru.

"Soldatezeitung" o stanowisku Kardynała Ks. St. Wyszyńskiego

"Soldatenzeitung" z dnia 27 września zamieściła podpisaną inicjałami dr W.K. notatkę pod tytułem: "Kardynał Wyszyński, Prymas Polski — a prawo samostanowienia". Podajemy jej pełny tekst:

"Kiedy Prymas Polski niedawno obchodził 60 rocznicę swoich urodzin, prasa niemiecka upamiętniła ten dzień w pełnych szacunku słowach, poświęconych osobie kardynała. Zastanawiano się, z jakiego powodu tak postąpiła? Czy znalazł on bliższe podejście do narodu niemieckiego, czy też, być może, w tym czy owym przypadku poparł niemieckie postulaty? Potwierdzenia takich przypuszczeń nie znajdujemy w życiorysie tego dygnitarza kościelnego.

Arcybiskup warszawski dał natomiast nam, Niemcom, w czasie szesnastu lat swego urzędowania niejedną dowód swej antyniemieckiej postawy. Przed kilku laty bawił on przez szereg miesięcy w Rzymie i sporo

zamieszania wywołał w kołach watykańskich swoją uparcię powtarzaną propozycją przeprowadzenia nowego podziału diecezji na pozostających pod polską administracją niemieckich ziemiach wschodnich, chociaż — zgodnie z postanowieniem zwycięskich mocarstw — los tych ziem ma być definitywnie postanowiony dopiero w traktacie pokojowym. Starania kardynała spełży na niczym. Napotkał on ze strony Piusa XII na nieodwołalną odmowę; dla potomka starej rzymskiej rodziny prawników — prawo było zawsze główną wytyczną działania, tak więc w tym punkcie papież Pius XII był nieprzejednany. To, że papież, jeśli chodzi o to zagadnienie, stanął po stronie słabego wówczas narodu niemieckiego — nie powinno mu zostać nigdy zapomniane.

Skory do sporów ksiądz kościoła nie poprzestał jednak na odprawie, jaką wówczas otrzymał w Rzymie; widocznie chce

on obecnie stworzyć fakt dokonany i tym samym zmusić Watykan do działania. W warmińskim mieście Frauenburg, będącym siedzibą biskupa warmińskiego, obchodzono niedawno siedemnastolecie istnienia warmińskiej kapituły katedralnej, której to uroczystości — obchodzonej z udziałem kardynała, Prymasa Polski — nadano charakter mocno szowinistyczny. Kardynał wygłosił przemówienie, przepojone polskim, nacjonalistycznym duchem. Z okazji tej uroczystości odczytano list pasterski polskiego biskupa rezydującego w Olsztynie, w którym wspomina on o "polskim" (!) astronomie, Mikołaju Koperniku, pełniącym funkcje proboszcza katedry frauenburskiej; wspomina również ów biskup o "Collegium Hosianum" w Brunświku, które zawsze "było ostoją nauki polskiej" (!). Pochwalił wreszcie tenże biskup w swym liście pasterskim duchowieństwo polskie (!) jako "szermierza walki z germanizacją" w Warmii.

Wszystko to działo się w obecności kardynała, Prymasa Polski. Czy doprawdy musimy jeszcze tłumaczyć, że Warmia była zawsze czysto niemiecka, że była niemiecka również i za czasów gdy znajdowała się pod władaniem Polski, że w Warmii nigdy, w żadnym momencie nie istniała najdrobniejsza chociażby mniejszość polska? Czyż trzeba podkreślać, że biskupstwo warmińskie było biskupstwem niemieckim, a biskupi warmińscy przez stulecia byli książętami państwa niemieckiego?

Jeśli kardynał, Prymas Polski, nie chce uznać prawa do samostanowienia, to nie będzie on chyba mógł zaprzeczyć, że prawo do ojczyzny jest głęboko zakorzenione w zwyczajach i nauce kościoła katolickiego, a wobec tego stanowi prawo nie tylko świeckie, ale i boskie. Czyż nie można oczekiwać od tak wysokiego dostojnika kościelnego poszanowania przynajmniej prawa boskiego?"

CŁO, CŁO, CŁO...

Podajemy za "Zyciem Warszawy" wykładnię przepisów celnych w formie zapytań i odpowiedzi Redakcji:

ULGI "Z URZĘDU"

Pytanie: Jestem rencista. Mam brata za granicą, który przysyła mi czasem paczki z używanymi rzeczami. Chciałbym wiedzieć, czy przysługują mi ulgi w opłacie celnej. Czy ew. mogę odmówić przyjęcia paczki jeżeli nie otrzymam ulgi? Co będzie wówczas z paczką?

Odpowiedź: Wyjaśniliśmy sprawę w Centralnym Zarz. Cel. Przede wszystkim podstawowa informacja — ulgi celne mogą być stosowane dopiero po nadejściu paczki do kraju. Mogą to być ulgi "z urzędu" lub "uznaniowe". Renciści mają ulgi

"z urzędu". Stawka dla nich wynosi od odzieży używanej, bielizny i konfekcji — 5 zł za kg, o ile nie przekracza ona wagi 10 kg. Od używanego obuwia — 5 zł od jednej pary, o ile nie ma ich więcej w jednej paczce niż 5 par. Aby otrzymać te stawki ulgowe odbiorca musi przedstawić w Urzędzie Pocztowym odcinek renty z ostatnich 2 miesięcy, w kopercie zaadresowanej do Urzędu Celnego. Poczta prześle tę kopertę wraz z dowodem odprawy celnej do Urzędu Celnego, który dokona przeliczenia przesyłki wg ulgowej stawki.

Adresat może zawsze odmówić przyjęcia paczki — wówczas Zarząd Poczty zwraca przesyłkę do nadawcy, chyba że ten inaczej zacyduje.

URZĄD, CZY ŚCIANA STRACHU?

Do jakiej wysokości — pyta nasza Czytelniczka dr W. W. — wartość paczki będącej prezentem nie podlega opodatkowaniu. Pisaliście już kiedyś na ten temat, ale potem było sprostowanie i nie wiem jak jest istotnie. Chciałabym też wiedzieć jakie kryteria i na jakich danych opiera się Urząd Skarbowy przy określaniu wartości paczki oraz czy odbiorca paczek winien sam udowodnić ile ich dostał, co z nimi zrobił, komu i za ile sprzedał, czy też winien to robić Urząd Skarbowy?

O sprawie powyższej piszemy nieco szerzej, bowiem panują tu ciągle nieporozumienia. Władze celne uważają, że jeżeli roczna wartość przesyłek nie przekracza kwoty 30.000 zł, a przede wszystkim jeżeli zawartość paczek nie nosi wyraźnego charakteru handlowego, to znaczy że

nie jest przeznaczona do spekulacyjnej sprzedaży, wtedy nie ma powodu do występowania z roszczeniami podatkowymi. Zawartość właśnie bardziej niż wartość powoduje zainteresowanie się władz skarbowych adresatem.

Sprawa zresztą mocno straciła na aktualności po wprowadzeniu w dniu 15 listopada ub. r. taryfy celnej zawierającej dwie kolumny stawek. Ta druga kolumna, przeznaczona dla towarów, których ilość w przesyłce znacznie przekracza potrzeby własne adresata, w poważnym chyba stopniu spekulacyjny import paczkowy wyeliminowała.

Jeżeli chodzi o drugą część pytania to rzecz jest znacznie prostsza niż by się to mogło wydawać. Kryteria oceny wartości towarów są proste — decyduje cena rynkowa. Inne szczegóły u-

rząd czerpie z oświadczenia zaproszonego obywatela, składanego w toku tzw. postępowania wyjaśniającego, które jak sama nazwa wskazuje nie ma nic wspólnego z przesłuchaniem podejzanego. Jest nawet wyraźne zalecenie, aby takie postępowanie prowadzić, tak aby czynność urzędowa aparatu skarbowego sprowadzić o ile to możliwe do normalnej rozmowy z obywatelem. W toku takiej rozmowy, a następnie w toku częstej w tej

dziedzinie procedury odwoławczej, wiele rzeczy można wyjaśnić. Jak nam autorytatywnie oświadczone, każdy wypadek wyjaśniania dochodów pochodzących z paczek jest traktowany indywidualnie, a istniejące w tej mierze przepisy są jedynie ramowe, przy czym okoliczności osobiste czy życiowe obywatela grają ogromną rolę w kształtowaniu ostatecznej decyzji urzędu skarbowego.

Cyfry mówią o Warszawie

W numerze poświęconym mieszkańcom Warszawy tyg. "Stolica" (17-24 bm.) w artykule pt. "Słońce dla wszystkich" zestawili cyfry ilustrujące osiągnięcia w dziedzinie odbudowy stolicy polskiej. Dają one pojęcie o rozmiarach tego zadania wykonywanego przez cały naród.

W artykule czytamy m. in.: "Ogółem do 1949 r. odbudowano około 200.000 izb mieszkalnych (ponadto szereg szkół, szpitali i zakładów przemysłowych). W okresie lat 1949-1960 wybudowaliśmy 287.000 izb mieszkalnych. A w pierwszym półroczu 1961 r. przybyło Warszawy ogółem 14.351 izb (w tym z budownictwa społecznego 12.922 izby, a z nieuspołecznionego — 1.429 izb), nowych lub uzyskanych z kapitalnego re-

montu, zarówno w budynkach mieszkalnych, jak i niemieszkalnych. — Nakłady finansowe na te inwestycje w ostatnim okresie wyniosły 3275,3 mln zł. Oto jeszcze jedno zestawienie, jakże wymowne. W roku pierwszego Miesiąca Budowy Warszawy (1946) stolica dysponowała 109.034 mieszkaniami o 209.487 izbach zamieszkałych przez 473.600 osób. W 1950 r. mieliśmy 199.200 mieszkań o 414.800 izbach ze 793.300 mieszkańcami (na 100 izb przypadają 191 osób). W 1960 r. spis powszechny przeprowadzony 6.XII wykazał już 307.000 mieszkań o 695.900 izbach, zamieszkałych przez 1.098.500 osób (wskaźnik zagęszczenia obniżył się do 158 osób na 100 izb)."

CIEKAWOSTKI

BADANIA PODZIEMNEGO "LABIRYNTU" MIECHOWA

Już w r. 1937 podjęta była w Miechowie (woj. krakowskie) pierwsza próba zbadania podziemnych chodników, których labirynt ma się znajdować pod miastem. Badania zaczęto od chodnika pod jedną z kamienic rynku spadającego pochyło od chodnika w dół. Wkrótce jednak prace zaniechano.

Obecnie prace te mają być podjęte w związku z koniecznością stwierdzenia stopnia zagrożenia jakie podziemny "labirynt" stwarza dla miechowskich kamienic. Przypuszczalnie w pracach weźmie udział grupa grotolarzów.

ŻABIE SPECJAŁY LECĄ DO PARYŻA

Amatorów na żabie udko ze świecą by u nas nie znalazł. Ale Francuzi wcinają, aż im ślinka leci. Skoro zaś własnych żab nie starczy — sprowadzają te delikaty skąd tylko się da: z Jugosławii, Bułgarii, z Węgier, i to dziesiątki ton. Jednego roku Holandia dostarczyła paryskim smakoszom aż 200 ton tego specyfiku, ogałając z żab wszystkie swoje wody.

Zaczęliśmy i my łapanie żab i wywózkę do Francji. W ub. roku poleciało samolotami 2 tony skaczących pasażerów. W

tym roku jest nadzieja na wielokrotnienie tej ilości. Czy się uda — zależy tylko od zbieraczy.

SKARB ŚREDNIOWIECZNYCH MONET ODKRYTO W NOWEJ HUCIE

Na pograniczu Ruszczy i Pleszowa nowohucki oddział krakowskiego muzeum archeologicznego prowadzi od pewnego czasu prace badawcze na terenie wczesno-średniowiecznej osady słowiańskiej. Do tej pory odsłonięto kilka ziemianek z paleniskami.

W jednej z nich 8 bm. dokonano rewelacyjnego odkrycia skarbu ponad 130 monet wczesno-średniowiecznych, pierwszego tego rodzaju odkrycia na terenie Małopolski. Skarb składa się z monet Mieszka I, monet angielskich i niemieckich — przeważnie saskich, tzw. siekańców tj. srebrnych ozdób połamanych i służących jako środek płatniczy oraz również służących jako środek płatniczy placzków srebrnych. Zachowało się również naczynie w którym złożono ów skarb. Monety pochodzą — o ile można się zorientować z pobieżnego ich odczytania — przeważnie sprzed 1000 roku. Najmłodsza z monet odczytanych datowana jest z 1016 roku.

W najbliższych miesiącach numizmatycy zajmą się dokładnym odczytaniem skarbu.

WYSYCHA BASEN "NIEBIESKICH ŹRÓDEŁ" KŁOPOTY TOMASZOWA

Mieszkańcy Tomaszowa Mazowieckiego przeżywają nieprzyjemne emocje. W 50 posesjach dzielnicy Nagórzycze obniżyło się gwałtownie lustro wody w studniach głębinowych, przy czym w wielu zbiornikach widać już tylko dno wypełnione mętną cieczą. W poszukiwaniu wody ludność najbardziej poszkodowanych posesji zmuszona jest wędrować do odległych studni.

Fachowcy zainteresowani sprawą Nagórzycze są zdania, iż wiąże się ona ściśle z niemniej zagadkowym wysychaniem basenu słynnych "Niebieskich Źródeł", których rezerwat położony jest w bliskim sąsiedztwie zagrożonej posuchą dzielnicy.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni źródła te o średniej wydajności ok. 1.900 m sześć. wody na dobę zamaryły, w związku z czym lustro wody w basenie obniżyło się o blisko 60 cm. Jest to poważną groźbą dla niezwykle rzadkich okazów flory oraz ptactwa wodnego.

ODPOWIEDZIALNI ZA ZATRUCIE RZEK ARESZTOWANI

Duże ilości kwasu siarkowego, które wskutek karygodnego niedbalstwa przedostały się z rafinerii w Gliniku Mariampolskim koło Gliwic do rzeki Ropy i części Wisłoki spowodowały znaczne straty. Na przestrzeni ponad 60 km od Gorlic aż po Brzostek w pow. Jasło życie biologiczne w obu rzekach przesta-

ło istnieć. Tylko straty w rybołówstwie oblicza się na ok. 1 mln zł.

Na wniosek Prokuratury Wojewódzkiej w Rzeszowie aresztowani zostali: naczelny inżynier rafinerii — J. Mnich oraz kierownik oddziału rafinerii — I. Świstak. Są oni odpowiedzialni za zaniedbania i brak nadzoru, które doprowadziły do zatrucia rzek kwasem siarkowym.

ZŁOTO TAŃSZE

Cena złomu złota została obniżona 8.V.br. o ok. 15 proc. i stosownie do tego obniżono również ceny wyrobów ze złota, m.in. obrączek, łańcuszków, niektórych rodzajów pierścionków.

JĘZYK POLSKI ZAJMUJE 17 MIEJSCE NA ŚWIECIE

Język nasz zajmuje siedemnaste miejsce na świecie co do ilości mówiących. Siedemnaste miejsce na 2.796 żyjących obecnie języków nie jest najgorsze, możemy jednak poprawić naszą lokatę.

Chodzi o to, że o ważności języka decyduje nie tylko liczba osób dla których jest on mową ojczystą. Prof. Mario Pei, językoznawca amerykański, podaje w procentach wskaźniki ważności języka, a mianowicie: liczba mówiących — 25 proc., rozpowszechnienie — 13, potencjał przemysłowy — 13, status naukowy — 12, status handlowy — 12, status kulturalny — 10, piśmienność — 8, status wojskowo-polityczny — 7 proc. Z tego punktu widzenia polszczyznę można by zaszerzować do dziesiątego miejsca na świecie.

W Brazylii o Polsce, w Polsce o Brazylii

LEPECKI O EMIGRACJI POLSKIEJ W BRAZYLII

W nr. 30 Przeglądu Kulturalnego w artykule pt. "Emigranci" Mieczysław Lepecki zajmuje się zagadnieniem emigracji polskiej w Brazylii.

W pierwszej części artykułu Lepecki zastanawia się nad liczbą emigrantów polskich w Brazylii i podaje cyfry różnych autorów dotyczące tej sprawy, nie wysuwając jednakże własnych wniosków.

Następnie, Lepecki opisuje życie osadników polskich. Twierdzi, że żyją dostatnio. "Jak dalece są jeszcze Polakami trudno powiedzieć".

I dalej:

"Po stu latach pobytu w tym kraju nie widać nas ani słycać w miastach; organizacje jak by nie istniały; nie tylko nie ma szkół, gdzie by wykładano język polski, ale nie ma nawet lektoratu języka polskiego na uniwersytecie w Kurytybie. Portugalszczyzna, wyparłszy polszczyznę z instytucji społecznych, wdziera się teraz — i to z po-

wodzeniem — do domów prywatnych."

Ale... "potomkowie Polaków w Paranie... chociażby chcieli jak najbardziej złać się z otoczeniem, to nie będą w stanie dokonać tego w pełni. W najdalej idącym wypadku będą stanowili mówiącą po portugalsku odrębną grupę etniczną."

ODGŁOSY O POLSCIE W PORTO ALEGRE

Niestrudzony inż. Edmund Gardoliński zamieścił niedawno na łamach "Diário de Notícias" dwa artykuły o sprawach polskich.

Pierwszy z tych artykułów porusza zagadnienie przyjaźni polsko-włoskiej. Autor opierając się na szeregu przykładów historycznych wysuwa tezę zbieżności wysiłków obu narodów w walce z tyranią i uciskiem.

Drugi artykuł zajmuje się wkładem emigracji polskiej w dziedzinę rozwoju stanu Rio Grande do Sul. W następnym numerze podamy obszernie streszczenie tego artykułu.

JACHT — WIDMO WYŁO- WILI MARYNARZE "OLKUSZA"

Niezwykły ładunek przywiózł do Gdyni m/s "Olkusz", statek kursujący na linii lewantyńskiej. Wracając do portu macierzystego, marynarze ujrzeli w pobliżu Texel (za Dover) błakający się na morzu jacht. Okazało się, że był pusty. Jego pasażerowie musieli go opuścić w wielkim popłochu — świadczący o tym porozrzucane przed-

mioty. Jacht miał uszkodzony motor i złamany boom masztu. Z dokumentów znalezionych w kabinie wynikało, że właścicielem jachtu jest inż. Garth Kinber, mieszkaniec Londynu. Marynarze "Olkusza" załadowali pusty jacht na pokład swego statku i przywieźli do Gdyni. W myśl prawa morskiego są oni obecnie właścicielami uratowanego jachtu. Inż. Garth Kinber zwrócił się już za pośrednictwem konsulatu z propozycją wykupienia jachtu.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałem artykuł Dołęgi Otockiego: "Tacy są Niemcy" i pod świeżym wrażeniem kreślę kilka słów, które wydają mi się konieczne.

Nie ze wszystkim mogę się zgodzić z Otockim. To co napisał jest pamfletem, a każdy pamflet zawiera w sobie wyolbrzymienie pewnych faktów i szereg krzywdzących uogólnień.

Czy wszyscy Niemcy są źli i czy cały naród niemiecki odpowiada za zbrodnie hitlerowskie? Otockie odpowiada na to pytanie twierdząco. Zdaniem jego dusza niemiecka jest z istoty swej plugawa. Cechuje ją: "zazdrość, liłość nad sobą i okrucieństwo" (lord R. Vansittart). Tacy, przytacza Otockie, wspomina o okrucieństwie Niemców, zwyczajnie torturowania i mordowania jeńców i niewolników, co nie było praktykowane u Słowian.

— Owszem, było praktykowane. Skoro już mamy się powoływać na historyków starożytnych niech mi wolno będzie przytoczyć cytaty z Prokopiusza z Cezarei, żyjącego za czasów Justyniana. W rozdziale 38 księgi VII jego: "Wojny z Gotami" czytamy, że Słowianie w czasie napadu na Ilirję wbijali ludność cywilną na pal, zamykali kobiety i dzieci w domostwach, które następnie podpálali.

"Po wbitcu w ziemię czterech grubych pali" — powiada Prokopiusz — przywiązywali do nich jeńców za ręce i nogi i bili potem kijami po głowie, zabijając ich jak psy, lub żmije lub jakieś inne dzikie zwierzęta".

Mógł by ktoś powiedzieć, że działo się to przed wiekami, kie-

dy Słowianie byli barbarzyńcami i że nie mogło by się to wydarzyć w XX wieku. Przeczytałem doświadczenie ostatnich lat. Wszyscy aż nadto dobrze pamiętamy rizinów ukraińskich, którzy w czasie ostatniej wojny wymordowali w wyrafinowany i perfidny sposób dziesiątki tysięcy Polaków. Ale nie mnożmy przykładów. Zaden naród nie ma monopolu na łagodność, w każdym narodzie spotyka się zbrodźców i zwyrodniałców. — Okrucieństwo, przytłumione przez cywilizację, żyje wśród nas.

Daleki jestem od pomniejszania zbrodni hitlerowskich. Przeciwnie, potępiam je jak najostreż. Świat pograżył by się w ciemności i barbarzyństwie, gdyby Hitler wygrał wojnę. W dużej mierze Niemcy są odpowiedzialni za te czasy pogardy. Ale nie wolno nam wydawać wyroku na cały naród. To nie Niemcy powinni być napiętnowani na wieki, to powinien być napiętnowany i wykorzeniony system, który doprowadził do zbrodni, mafia narodowego socjalizmu.

Brunatna zaraza toczy jeszcze dziś duszę niejednego Niemca, nie twierdzmy, że zżera dusze wszystkich Niemców. Od państwa okupacyjnych, od ich mądrej i przemyślanej polityki, zależy czy Niemcy wkroczą na ścieżkę nowej wojny i nowych okrucieństw, czy też staną się dobrym i pożytecznym członkiem rodziny człowieczej.

Łączę wyrazy szacunku

L. M.

(Nazwisko i adres znane redakcji).

Konkurs na wspomnienia

Zapraszamy wszystkich naszych czytelników do wzięcia udziału w konkursie na wspomnienia. Forma literacka wspomnień nie odgrywa żadnej roli. Każdy niech tak pisze jak umie. Ci z czytelników, którzy władają lepiej językiem portugalskim, niż polskim mogą swoją pracę nadesłać napisaną po portugalsku.

Wspomnienia będą drukowane w "Przeglądzie Polskim". Niezależnie od tego Redakcja wyznacza dla najlepszych prace trzy nagrody:

- 1) TRYLOGIA SIENKIEWICZA
- 2) "QUO VADIS" SIENKIEWICZA
- 3) WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ POLSKA

Termin nadsyłania prac do 31 maja 1962 roku.



Fotos z filmu: *Dziś w nocy umrze miasto.*
Na zdjęciu Andrzej Lapicki.



Festiwal Muzyki Współczesnej "Warszawska Jesień". Na zdjęciu: Fragment baletu Beli Bartoka: "Cudowny Mandaryn".



Mazowsze w Kopenhadze na tle statku "Mazowsze."



Jerzy Pawłowski — najlepszy polski szablista

Indústria Metalúrgica

STELLA LTDA.

FABRYKI:

Rua Serra de Japí, 31 - Tel.: 9-0262

SÃO PAULO

Via Bonteiro Lobato - GUARULHOS

BIURO:

Rua Conselheiro Crispiniano 53 9.º

Tel.: - 35-9180 i 35-9189

**RURY KANALIZACYJNE
I PRZEMYSŁOWE**

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

STANISŁAW OSSOWIECKI

(Soc. Fin. Barros-Handley)

Sprzedaż nieruchomości

Orientacja fachowa

SÃO PAULO, rua Barão de Itapetininga, 224, 1.º — Fone: 32-3131
e residência 80-7045

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

JEDYNA POLSKA DRUKARNIA W SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego

rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE



Rodosiel S.A.

Zamów TYGODNIK AMERYKA-ECHO

AMERYKA ECHO to pismo niezależne, zamieszczające poważne artykuły o sprawie polskiej i o życiu Polonii w Stanach Zjednoczonych.

W AMERYKA ECHO czytelnik znajdzie: korespondencje z całego świata; ciekawy dział dla kobiet, dział rolny dla rolników i ogrodników, omawiający zagadnienia rolnictwa, ogrodnictwa, warzywnictwa i hodowli, informacje i ciekawostki ze świata nauki, poezję, dobrą powieść i humor.

Specjalny dział pogadarek z czytelnikami i kącik dla wszystkich, w którym podawane są artykuły, wspomnienia i uwagi czytelników.

ROCZNA PRENUMERATA AMERYKA - ECHO kosztuje w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie 8.00 dolarów USA, w Ameryce Południowej ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara tylko dol. USA 6.50.

Na żądanie wysyłamy bezpłatne egzemplarze okazowe.

Adres redakcji i administracji: 1154 Nebraska Avenue, Toledo 7, Ohio, U. S. A.

U w a g a !

WSZYSTKIE PISMA I CZASOPISMA POLSKIE
można zaprenumerować w Rio de Janeiro w firmie

"M. KISIEL"

Av. Rio Branco 18. sala 407

Wielki wybór czasopism z dziedzin naukowych i technicznych, również w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, hiszpańskim i niemieckim. Czasopisma religijne; pisemka dla dzieci i młodzieży; szachowe, brydżowe, sportowe; z dziedziny sztuki, filmu, teatru, czasopisma handlowe. Poradniki techniczne, rzemieślnicze, rolnicze itd.

PRENUMERATA ROCZNA

NUMERY OKAZOWE DO PRZEJRZENIA

Do nabycia również Kalendarz POLONII na rok 1961, w pięknym, książkowym wydaniu. Cena Cr\$ 100,00.

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska i jarska. CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Osasco, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.

Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

Insubra

SÃO PAULO, Rua Barão de Itapetininga 151,
3, 4 e 5 andar — Tel. 37-3171

RIO DE JANEIRO, Av. Rio Branco, 138, 14.º
Tels.: 22-6663 e 32-9284

PORTO ALEGRE, Praça Rui Barbosa, 220, 2.º
Tel. 8323 — Ed. Tannhauser.

CURITIBA, R. 15 de Novembro, 24, Tel. 4-4457
Modesto Smolka & Cia. Ltda.

WSZELKIEGO RODZAJU

MASZYNY BIUROWE,

ORGANIZACYJNE

I BUCHALTERYJNE

Restauracja

PINATTI

DAWNIEJ MAZUR

Rua Correio do Mello, 56
Tel. 37-9051 — SÃO PAULO

Pod kierownictwem:
POLI CUKIER BILET

Specjalność:
kuchnia polsko - żydowska

Flaczki — Ryba po żydowsku
Barszcz — Kiełbasa z
kapustą

CENY BARDZO NISKIE



Companhia Comercial Construtora e de Administração

Avenida São João, 1086 — 4.º Andar — Telefone 36-7186 (rêde interna) — SÃO PAULO

CONSTRUTORA

IMOBILIÁRIA

ADMINISTRADORA

Nós planejamos, projetamos, incorporamos, construímos, fiscalizamos, vendemos ou alugamos e, de ponta a ponta, todas as operações recebem a mais completa assistência de um Departamento Jurídico altamente especializado.



ELETROMAR




... PRECISÃO
 ... SEGURANÇA
 ... QUALIDADE



- LINHA INDUSTRIAL
- LINHA DE ILUMINAÇÃO
- LINHA DOMÉSTICA
- LINHA DE RETIFICADORES

Concessionários & Distribuidores

 WESTINGHOUSE
 Electric International Co., Nova York, USA

 WESTINGHOUSE
 Brake&Signal Ltd., Londres, Inglaterra

SOLA
 Electric Co., Chicago, USA

RIO DE JANEIRO
 SÃO PAULO

ORGANIZAÇÕES DE VENDAS EM:

- | | |
|----------------|-----------|
| Pôrto Alegre | Salvador |
| Curitiba | Recife |
| Belém | Fortaleza |
| Belo Horizonte | Brasília |

ELETROMAR

INDÚSTRIA ELÉTRICA BRASILEIRA S/A.



Tricot-lã

sweater
original

